

RABINDRANATH TAGORE

GŁODNE KAMIENIE

Rabindranath Tagore

Głodne kamienie

http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23552522

Głodne kamienie:

Аннотация

Opowiadania Rabindranatha Tagore, zebrane przez polskiego tłumacza w tom Głodne kamienie, pokazują obraz społeczności oddalonej od nas o sto lat i tysiące kilometrów. Możemy w nich jednak zobaczyć w nowym świetle to, co jest nam bliskie. I tak, czytając o politeizmie i okrutnym systemie kastowym, obserwując malowniczą wielokulturowość tamtego świata, wnikając w hierarchiczną strukturę indyjskiej rodziny, spotykamy się z takimi sprawami, jak różnorodność relacji i uczuć rodzinnych, przemiany społeczne, duchowość i religijność (ale też przesady i wiara w duchy), patriotyzm i oportunizm. Pisarz jest żarliwym, ale mądrym orędownikiem praw słabszych i wykluczonych. Relacjonuje walkę o zmianę statusu wdów; piętnuje nadużywanie władzy męża nad żoną; pochyla się nad przeżyciami zarówno małych, jak i dorastających dzieci i podkreśla wagę wychowania; ukazuje losy przedstawicieli nizin społecznych.

Содержание

Noc ziszczenia	5
Zwycięstwo	15
Maszi	25
I	25
II	28
III	34
IV	37
V	46
Szkielet	47
Stróż dziedzictwa	59
I	59
II	64
III	66
Był sobie król	73
Конец ознакомительного фрагмента.	80

Rabindranath Tagore

Głodne kamienie

Opowiadania Rabindranatha Tagore, zebrane przez polskiego tłumacza w tom *Głodne kamienie*, pokazują obraz społeczności oddalonej od nas o sto lat i tysiące kilometrów.

Możemy w nich jednak zobaczyć w nowym świetle to, co jest nam bliskie. I tak, czytając o politeizmie i okrutnym systemie kastowym, obserwując malowniczą wielokulturowość tamtego świata, wnikając w hierarchiczną strukturę indyjskiej rodziny, spotykamy się z takimi sprawami, jak różnorodność relacji i uczuć rodzinnych, przemiany społeczne, duchowość i religijność (ale też przesady i wiara w duchy), patriotyzm i oportunizm.

Pisarz jest żarliwym, ale mądrym orędownikiem praw słabszych i wykluczonych. Relacjonuje walkę o zmianę statusu wdów; piętnuje nadużywanie władzy męża nad żoną; pochyla się nad przeżyciami zarówno małych, jak i dorastających dzieci i podkreśla wagę wychowania; ukazuje losy przedstawicieli nizin społecznych.

Noc ziszczenia

Chodziłem razem z Surabalą do szkoły, utrzymywanej przez pewną starą pannę, i bawiliśmy się w męża i żonę. Ile razy przychodziłem do niej, matka jej głaskała mnie po głowie, stawiała nas obok siebie i mówiła: „Co za śliczna parka!”.

Byłem jeszcze dzieckiem, ale wiedziałem, co to znaczy, wiedziałem doskonale. Ustaliło się we mnie przekonanie, że posiadam do Surabali wyjątkowe prawa. Stąd też, uniesiony dumą posiadacza, często karałem ją i dręczyłem, a ona chętnie dokonywała dla mnie wielu uciążliwych rzeczy i znosiła bez skargi kary wszelakie. Cała wieś uwielbiała jej piękność, ale w mych oczach, oczach małego barbarzyńcy, piękność niewiele znaczyła. Wiedziałem tyle, że Surabala umyślnie po to przyszła na świat, by dźwigać moje jarzmo, a więc nie mam powodu robić z nią żadnych ceregieli.

Ojciec mój był zarządcą dóbr bogatej rodziny Czaudhuri i chciał mnie, gdy tylko przyswoję sobie biegłość w pisaniu, umieścić przy sobie w zarządzie, a potem, gdy się z tokiem spraw obeznam, dać mi posadę poborcy czynszów dzierżawnych. Ale w głębi ducha postanowiłem zrezygnować z tego zaszczytu. Nilratan, chłopiec z naszej wioski, uciekł swemu ojcu do Kalkuty, nauczył się po angielsku i został w końcu nazirem okręgu, czyli naczelnikiem administracji. To stało się ideałem mego życia i przysiągłem sobie zostać co najmniej generalnym

sekretarzem sądu, o ile nie zdołam osiągnąć godności nazira.

Widziałem, że ojciec mój okazuje zawsze ogromny szacunek urzędnikom sądowym. Wiedziałem też od lat dziecięcych, że ludzi tych zjednywać sobie trzeba podarkami, takimi jak ryby, jarzyny, a nawet dawać im pieniądze. Dlatego to w sercu zachowałem dla nich, począwszy od podrzędnych aż do poborców podatkowych, miejsce honorowe. Są to bogowie, czczeni w naszym kochanym Bengalu, i stanowią miniaturowe wydanie 330-milionowego panteonu bóstw hinduskich. Kiedy idzie o korzyści materialne, ludność odnosi się do nich z większym dużo zaufaniem jak do starego poczciwego bożka Ganesza, patrona szczęścia, toteż składa teraz w ofierze urzędnikom to wszystko, co przedtem bywało udziałem Ganesza.

Zachęcony przykładem Nilratana przy sposobnej okazji zemknąłem również do Kalkuty i zamieszkałem na razie w domu pewnego znajomego ziomka, z naszej wsi pochodzącego. Potem otrzymałem od ojca małą pensyjkę przeznaczoną na koszt wykształcenia. Mogłem tedy rozpocząć regularną naukę.

Poza tym wstąpiłem do różnych politycznych i społecznych zrzeszeń i niebawem uświadomiłem sobie, że winien jestem w ten czy inny sposób poświęcić swe życie dla ojczyzny. Ale nie wiedziałem, jak tego dokazać, a nikt mi nie wskazywał drogi.

Nie sprawiało to jednak żadnego uszczerbku w moim zapale. My, młodzi wieśniacy, nie umieliśmy jeszcze drwić sobie z wszystkiego, jak to czynili nad wiek dojrzały młodzieńcy

kalkuccy, toteż wiara nasza nie miała granic. „Przywódcy” naszego związku wygłaszali mowy, my zaś, nie zważając na żar słoneczny doskwierający silnie, chodziliśmy od drzwi do drzwi z pustymi żołądkami i zbieraliśmy podpisy albo, stojąc na rogach ulic, rozdawaliśmy ulotki; czasem znosiliśmy ławki i krzesła do sal prelekcyjnych, a gdy tylko ktoś pozwolił sobie na najdyskretniej wyrażone słówko niechęci dla naszych „przywódców”, stawaliśmy murem, gotowi bić się z nim do upadłego. Młodzież miejska wyśmiewała się z „durnych prostaków”.

Przybyłem do Kalkuty z zamiarem zostania nazirem albo sekretarzem sądu, teraz atoli czułem, że wstąpiłem na drogę właściwą, by zostać Mazzinim albo Garibaldim.

Jakoś w tym właśnie czasie umówił się ojciec mój z ojcem Surabali o nasze małżeństwo. Wyruszyłem do Kalkuty w piętnastym roku życia, Surabala miała wówczas lat osiem. Teraz liczyła osiemnaście lat i ojciec mój był zdania, że czas najwyższy na ślub, bo potem będzie za stara. Ale ja przysiągłem sobie w skrytości serca nie żenić się wcale, natomiast poświęcić życie za ojczyznę, dlatego też oświadczyłem ojcu, że nie chcę brać żony przed ukończeniem studiów.

Po upływie dwu czy trzech miesięcy dowiedziałem się, że Surabala zawarła związek małżeński z pewnym prawnikiem nazwiskiem Ram Loczan, ale byłem wówczas tak zajęty zbieraniem zasiłków na pomoc dla Komitetu Odrodzenia Indii, że ta wieść nie wywarła na mnie żadnego wrażenia.

Immatrikulowałem się i właśnie miałem przystąpić do pierwszego egzaminu, gdy zmarł mój ojciec. Nie tylko musiałem starać się o własne utrzymanie, ale również zadbać o matkę i dwie siostry. Przeto porzuciłem uniwersytet i zacząłem rozglądać się za płatną posadą. Po długich staraniach uzyskałem miejsce drugiego nauczyciela w niższym zakładzie naukowym w pewnym małym miasteczku okręgu Noakhali.

Uznałem, iż stanowisko to właśnie mi odpowiada, i postanowiłem osobistym wpływem wykształcić każdego z mych uczniów na przyszłego bohatera i obrońcę wyzwolonych Indii.

Zacząłem swą pracę i zauważyłem niebawem, że zbliżający się egzamin to sprawa pilniejsza od przyszłości Indii. Dyrektor gniewał się, gdym mówił o czymś poza gramatyką i algebrą, toteż w ciągu kilku miesięcy wygaśł cały mój zapł.

Nie jestem geniuszem. W ciszy domowej snuję wprawdzie zuchwałe plany, ale wkroczywszy na pole pracy, uginam, niby bawół hinduski, kark ku jarzmu, znoszę smaganie kolczastego bata, którym mnie okłada mój pan, przez cały dzień tnę pługiem skiby ciężkiej ziemi i czuję wielkie zadowolenie, mogąc wieczorem w spokoju przeżuwać strawę. Podobne stworzenie nie umie stawać dęba i wykonywać skoków.

Jeden z nauczycieli musiał dla bezpieczeństwa budynku mieszkać w pobliżu szkoły. Będąc nieżonaty, podjąłem się tego obowiązku i zamieszkałem w szopie krytej słomą, tuż obok budynku szkolnego.

Budynek ten mieścił się w niejkiej odległości od miasta nad wielkim stawem otoczonym palmami kokosowymi i arekowymi oraz krzewami mandaru¹, a przy samym budynku rosły dwie stare gojawy, rzucając chłodny cień wokół.

Zapomniałem nadmienić i do tej pory wydawało mi się to nawet niegodnym uwagi, że w pobliżu szkoły mieszkał prokurator Ram Loczan Ray, a wiedziałem, że znajduje się tu także jego żona Surabala, moja towarzyszka zabaw z lat dziecięcych.

Zapoznałem się z panem Ram Loczanem. Nie wiem, czy doszło do jego wiadomości, że znałem Surabalę dawniej, a ja nie uważałem za potrzebne mówić mu o tym za pierwszą zaraz bytnością. Przyznać muszę, że wówczas ledwo pamiętałem, iż Surabala była ongi w jakimś związku z moim życiem.

Pewnego dnia wolnego od nauki odwiedziłem pana Ram Loczana. Nie wiem już, o czym rozmawialiśmy, zdaje się, że o nieszczęsnym położeniu współczesnych Indii. Nie bardzo go to wówczas obchodziło, ale można było na ten temat rozprawić długo i szeroko, pykając przy tym fajkę.

Podczas rozmowy usłyszałem w sąsiednim pokoju lekkie kroki, szelest szat kobiecych, cichy chrzęst bransoletek i wydało mi się, a raczej pewny byłem, że para ciekawych oczu spoglądała na mnie przez szczelinę małego okienka.

Nagle zjawiły się mej duszy znane ciemne oczy spozierające

¹ *mandar, madar* a. *erytryna* – drzewo ozdobne o dużych czerwonych kwiatach, łac. *Erythrina variegata*. [przypis edytorski]

z zaufaniem i czystą miłością dziewczęcą. Czarne źrenice, czarne długie rzęsy, oczy spokojne, utkwione we mnie bez drgnienia. Uczułem, że serce obciska żelazna obręcz, zgniata je, a bólu tego wyśłowić nie sposób.

Wróciłem do domu, lecz ból nie ustawał. Czytałem, pisałem, robiłem różne rzeczy, ale ciężaru z serca zrzucić nie mogłem, gniótł mnie, dławił jak zmora... uciskał piersi.

Wieczorem uspokoiłem się trochę i spróbowałem rzecz rozważyć – czegoż mi właściwie brak? A głos z wnętrza spytał: „Gdzieś podział swoją Surabale?”. Odparłem: „Wyrzekłem się jej dobrowolnie. Nie mogłem się spodziewać, by wiecznie na mnie czekać miała”.

Ale głos rozległ się znowu: „Wówczas mogłeś ją mieć, gdybyś jeno chciał. Dziś rób, co chcesz, nie masz nawet prawa spojrzeć na nią. Surbala z dziecięcych lat wabi cię, słyszysz brzęk jej bransolet, pachną ci z dala jej włosy, a mimo wszystko zbliżyć się nie możesz, bowiem mur was rozdziela”.

Odparłem: „Ano trudno! Niechże będzie! Czymże mi jest dziś Surabala?”.

A serce mówiło dalej: „Dziś ci niczym! Ale pomyśl, czym ci mogła być!”.

Tak, to prawda. Czymże mi mogła być? Najukochańszym ze wszystkich stworzeń świata, najbliższym spośród nich, towarzyszką w doli i niedoli... Tak, tym mi być mogła Surabala! A teraz daleka, obca, tak obca, że nie wolno mi na nią patrzeć, nie wypada z nią mówić, a grzechem wprost jest myśleć o niej! Ten

Ram Loczan wylazł nagle skądś, wymamrotał kilka formułek obrzędowych wyuczonych na pamięć, a potem porwał Surabale i zabrał jako swój łup, swą niezaprzeczną własność.

Nie chcę głosić nowych zasad moralnych ani też obalać porządku społecznego, nie zamierzam również rozrywać związków rodzinnych. Chcę jeno wyrazić to, co się we mnie działo, mimo że nie da się to pogodzić ze zdrowym rozsądkiem. Nie mogłem się wyzbyć uczucia, że Surabala, żyjąca w domu Ram Loczana i pozostająca w jego straży, jest raczej moją niż jego własnością. Wyobrażenie to było – przyznaję – nierozumne i nieprzystojne, nie było jednak nienaturalne.

Od tej chwili nie mogłem skupić uwagi na żadnym zajęciu. Gdy w południe uczniowie moi hałasowali, gdy palił żar słoneczny, gdy powiew wiatru niósł do pokoju słodką woń kwitnących gajów, wówczas pragnąłem... nie wiem doprawdy, czegom pragnął, czułem tylko, że za żadną cenę nie strawię mego życia na poprawianiu zadań owych młodocianych bohaterów przyszłych wolnych Indii.

Po skończeniu nauki nie mogłem wytrzymać w domu, a jednocześnie nieznośny był mi każdy gość i unikałem bywania u ludzi. Siedząc o zmroku nad stawem i słuchając, jak powiew wiatru wzdycha żałościwie w liściach kokosów i areki, rozmyślałem nad tym, że społeczeństwo ludzkie to jedna ogromna sieć pomyłek i głupstw. Nikt nie ma dość rozumu na to, by rzecz właściwą zrobić w odpowiednim czasie, a gdy sposobność minie, dręczymy swe serca daremną tęsknotą.

Mogłem poślubić Surabalę i być szczęśliwy przez całe życie. Ale chciałem koniecznie zostać Garibaldim, tymczasem zaś zostałem pomocnikiem nauczyciela w szkółce prowincjonalnej. Zaś ten prawnik Ram Loczan Ray, nieposiadający żadnego prawa do małżeństwa z Surabalą, dla którego Surabala przed ślubem była jak sto podobnych dziewcząt, najspokojniej ożenił się z nią i zarabia mnóstwo pieniędzy jako prokurator. Gdy mu nie smakuje jedzenie, to wymyśla Surabali, gdy zaś jest w dobrym humorze, natenczas robi jej prezent z bransoletki. Jest gładki, okrągły, ubiera się pięknie i nie ma żadnych trosk – ja zaś, niedoszły bohater, siedzę nad stawem, wzdycham i gapię się na gwiazdy.

Ram Loczan oddalił się z miasta na kilka dni w ważnej sprawie urzędowej, a Surabala pozostała w domu swym, równie samotna jak ja w mojej szkole.

Przypominam sobie, był to poniedziałek. Niebo od samego rana już pokrywały chmury, a około dziesiątej zaczął padać silny deszcz. Z powodu grożącej burzy dyrektor mój wcześniej skończył naukę i zamknął szkołę. Przez cały dzień przewalały się chmury, jakby gotując się do walnej rozprawy. Nazajutrz po południu rozpętała się burza, a woda lała się strumieniami z góry. W miarę zbliżania się nocy wzrastała zaciekłość huraganu i rosła siła deszczu. Zrazu dał wicher od wschodu, ale odwrócił się i zmienił kierunek na południowo-zachodni.

Daremne byłoby usiłowanie spać w noc taką. Myślałem nad tym, że Surabala jest sama jedna w domu w tak okropny czas.

Szkoła była dużo lepiej zbudowana jak jej lekki domek letni. Kilka razy zabierałem się, by sprowadzić ją do szkoły, a sam spędzić noc nad stawem pod gołym niebem. Ale nie mogłem zdobyć się na to.

O wpół do drugiej nad ranem posłyszałem nagle szum wody, nadchodziła fala powodzi. Wybiegłem z izby i podążyłem ku domowi Surabali. Pomiędzy nim a szkołą była tama brzeżąca staw. Gdym szedł po niej, woda sięgała mi do kolan. Gdym był na środku tamy, nadbiegła druga fala powodzi i rozstrzaskała się o belkowanie. Najwyższy punkt tamy znajdował się nie wyżej siedemnastu stóp nad poziomem gruntu.

Gdym się tam znalazł, postać jakaś nadbiegła od strony przeciwnej. Każdym fibrem serca czułem i wiedziałem, kto to był, i dusza zadrżała mi od tej świadomości. Nie wątpiłem, że i ona poznała mnie także.

Staliśmy oboje na tym maleńkim skrawku ziemi, a wokół nas, w obrębie jakichś trzech mil, wszystko pokryła woda.

Nadszedł czas potopu, pogasły gwiazdy na niebie i znikły światła na ziemi. Nie byłoby grzechem, gdybyśmy wówczas rozmawiali, ale żadne nie mogło zdobyć się na słowo. Nie spytaliśmy się nawet wzajem, co począć mamy. Staliśmy, patrząc w ciemność, a pod naszymi nogami pienił się dziki, czarny, rozwścieczony potok śmierci.

Dzisiaj porzuciła Surabala cały świat i przyszła do mnie. Dziś prócz mnie – nie ma nikogo. W dawnych latach dziecięcych ta sama Surabala przyszła z innego świata, z jakiegoś ciemnego,

przedwiecznego kraju niezgłębionych tajemnic i stanęła przy mnie pośród jasnego, pełnego ludzi świata, a dzisiaj, po długich, długich latach porzuciła ową ziemię lśniąca życiem i słońcem po to, by znaleźć się obok mnie w beznadziejnej, przerażnej ciemni, w momencie, kiedy przyroda rozgrywa ponurą walkę żywiołów. Prąd życia przyniósł mi ongiś pod stopy ten pęk nierozwity, a nurt śmierci porwał kwiat w pełni rozkwitu i znowu dał go mnie, mnie tylko samemu! Nadpłynie jeszcze jedna fala, spłucze nas z owej ostatniej krawędzi ziemi, na której stoimy z dala od siebie, i połączy na wieki w skonaniu.

Ale choćby nie przyszła ta fala, choćby Surabala długo i szczęśliwie żyła w swym domu, przy mężu, dzieciach i w otoczeniu krewnych, to nocy tej, kiedy staliśmy nad przepastną otchłanią śmierci, doznałem niebiańskich rozkoszy szczęścia.

Noc przeminęła, burza ukoiła się, woda odpłynęła powoli. Bez słowa jednego Surabala wróciła do domu, a ja także powlokłem się z powrotem do mojej szopy, nie rzekłszy nic.

Siedziałem i rozmyślałem długo. To prawda, nie zostałem nazirem ani generalnym sekretarzem sądu, ani też Garibaldim. Jestem pomocnikiem nauczyciela w nędznej prowincjonalnej szkółce. Ale ta jedna krótka noc blaskiem oblała całą drogę mego życia.

Pośród wszystkich dni i nocy, jakie mi zostały dane, ta jedna noc stała się najwyższym ziszczeniem mego bytu.

Zwycięstwo

Była królowną Adzita, a pieśniarz króla Narajana nigdy jej nie widział. Śpiewając królowi nowy swój utwór, musiał zawsze dobywać tak silnego głosu, by go usłyszeć mogli niewidzialni słuchacze ukryci za zasłoną otulającą balkon zawieszony wysoko ponad salą. Stał tedy pieśń swoją w górę, ku niebu, gdzie krążyła planeta rządząca jego losem i królująca w chwale światła.

Czasem dostrzegał cień poza zasłoną, cień ruchomy, a do uszu dobiegał go cichy, daleki pobrzęk, tak że mógł śnić o bransoletach na nogach kobiecych, zdobnych w złote dzwoneczki nucące cudnie za każdym krokiem. Te różowe, drobne, płynące ponad pyłem ziemi nóżki, błogosławiące go, niby łaska boża grzesznika, poeta postawił na ołtarzu swego serca i podług dźwięku każdego dzwonka układał pieśni swoje. Nigdy nie zaćmiła duszy jego wątpliwość, czyj to był cień poruszający się za kotarą i czyje obrączki dzwoniły w takt równy z jego tętniącym sercem.

Mandżari, służebna królowny, idąc ku rzece codziennie przechodziła tuż obok domku poety i nigdy nie ominęła sposobności zamienienia z nim kilku słów potajemnych. Jeśli ulica była pusta, a mrok zaległ już wszędy, wówczas wstępowała śmiało do jego izby i siadała na skraju dywanu. Zdawało się, że dziewczyna starannie dobiera taki kolor szala i takie kwiaty do włosów, w których jest jej do twarzy.

Ludzie uśmiechali się po trochu, szeptali sobie na ucho różności i nie można im było tego brać za złe, bo poeta Szekhar nie trudził się wcale ukrywaniem, że odwiedziny te napełniały go niewymowną radością.

Imię Mandzari znaczy tyle, co „bukiecik” – i każdy przyznać musi, że jest to prześliczne imię, dla każdej istoty ziemskiej nader miłe, ale nie dość tego było Szekharowi i nazwał ją: „Bukiecik wiosennych kwiatów”, a wszyscy ludzie rozsądni potrząsali głowami i powtarzali: „O Boże... Boże... Boże!”.

W pieśniach o wiosnie, jakie układał, Szekhar wysławiał zawsze „Bukiecik wiosennych kwiatów”, a król uśmiechał się i rzucał nań znaczące spojrzenia, zaś poeta widząc to, uśmiechał się także.

Pewnego dnia król spytał: – Czy pszczoła nie ma nic innego do roboty, jak brzęczeć w przedsionku pałacu wiosny?

Odpowiedział poeta: – O tak, musi ona także zbierać słodki nektar z kwiatów wiosennych i nim się upajać.

Wszyscy obecni w przybytku królewskim zaśmiali się z tej odpowiedzi, a podobno śmiała się także królowna Adżita z tego, iż służebna jej przyjęła imię nadane jej przez poetę. Zaś Mandzari czuła w duszy radość wielką.

Tak łączy się w życiu prawda i błąd, a do tego, co Bóg stwarza, człowiek dodaje własną przyozdobę.

To tylko jedno, co śpiewał poeta, było prawdą czystą. Śpiewał o Krisznie, boskim kochanku, i o jego umiłowanej Radha, o pierwiastku męskim i żeńskim istniejących od przedwiecza,

nucił pieśń starą jak świat o cierpieniu nieprzemijającym i o rozkoszy niemającej końca, a każdy, od żebraka do króla, stwierdzał prawdziwość owych pieśni we własnym sercu. Pieśni poety były na ustach wszystkich. Przy najśłabszym blasku księżyca i gdy powiał leciuchny choćby wiatr letni, pieśni jego wytryskały niezliczonymi głosy z okien, podwórzy, z łódek na rzece i spośród cienia drzew przydrożnych.

Tak biegły dni szczęśliwe, niezmacone niczym. Poeta śpiewał, król nasłuchiwał, a wszyscy obecni głośno objawiali swój zachwyty. Mandżari idąc ku rzece, zawsze przechodziła obok domu pieśniarza, cień za kotarą balkonu poruszał się ciągle, a z dala dolatywały brzęki złotych dzwoneczków.

Właśnie w tym czasie porzucił pewien poeta swe miejsce rodzinne na południu i ruszył w zwycięskim pochodzie po wszystkich krajach świata. Przybył też do Amarapury, królestwa Narajana. Stanął przed tronem i zanucił pieśń ku chwale króla. Wyzywał wszędzie na turniej królewskich pieśniarzy i zawsze odnosił zwycięstwo.

Król przyjął go z honorami i rzekł: – Poeto, witam cię łaskawie!

A poeta Pundarik odrzekł dumnie: – Królu, proszę o turniej! Szekhar, pieśniarz królewski, nie wiedział wcale, jak ma być rozegrana ta walka muz, i przez całą noc nie mógł spać. Ile razy przymknął oczy, wyłaniała się z ciemności olbrzymia postać słynnego Pundarika z pochyloną nieco na bok dumną głową i zakrzywionym niby ostrą szablą nosem.

Zadrzało serce w piersi biednego Szekhara, gdy dnia następnego wstąpił na arenę teatru wypełnionego ludem po brzegi.

Skłonił się z nieśmiałym uśmiechem przed współzawodnikiem. Pundarik odpowiedział dumnym skinieniem i śmiejąc się zwycięsko, obrócił lice ku licznemu gronu towarzyszących mu wielbicieli.

Szekhar spojrział w górę ku otoczonemu zasłoną balkonowi, a dusza jego pozdrowiła ukochaną słowami: „Jeśli zwyciężę dzisiaj, jedyna moja, to imię twoje wielbione będzie przez wieki!”.

Rozległo się uderzenie trąb. Tłum powstał z miejsc z okrzykiem: „Niech żyje król!”. Narajan wkroczył do sali otulony w fałdzisty biały płaszcz. Szedł powoli, niby chmura jesienna, a potem usiadł na tronie.

Pundarik wystąpił i uczyniła się wielka cisza. Podniósł głowę, wpiął pierś i głosem piorunowym począł sławić króla Narajana. Słowa jego uderzały jak spienione fale o mury i przenikały do głębi słuchaczy, wstrząsając nimi z mocą wielką. Zręczność, z jaką imię Narajana tłumaczył na różne sposoby, przewijając każdą jego literę przez sploty swych wierszy, zapierała dech słuchaczom.

Kiedy skończył i zajął swe miejsce, brzmiał jeszcze długo głos jego w całej sali i odbijał się echem w tysiącach serc oniemiałych słuchaczy. Uчени mistrze, którzy wraz z nim przybyli ze stron dalekich, podnieśli prawice i zawołali: „Brawo!”.

Król spojrział na Szekhara, tenże podniósł omglony bólem wzrok na swego pana. Potem zerwał się jak raniony jeleń, pełen rozpacz. Oblicze jego było blade, onieśmielony jak dziewczyna drżał cały, a młodzieńcza jego, smukła postać podobna była do napiętej struny lutni, która za najlżejszym dotknięciem rozśpiewać się musi tonami.

Zaczął z cicha, spuściwszy głowę. Pierwszych wierszy nie można było pochwycić uchem. Potem jednak wyprostował się, a czysty jego, słodki głos uniósł się w górę jak rozedrgana płomienista chmura.

Zaczął starą legendą z zamierzchłych czasów, opiewającą dzieje królewskiego rodu, i śpiewał o bohaterstwie jego przodków oraz niewysłowionej ich szlachetności od czasów pradawnych aż do dni ostatnich. Utkwił wzrok w królu, a w spojrzeniu jego malowała się wielka, niezmierna miłość do dynastii, jaką on i cały lud w sercu chował swoim. Słowa płynęły ku tronowi niby dym kadzidlany i obejmowały go przejrzystym obłokiem. Zakończył tak: – Panie, zaprawdę, można mnie prześcignąć zręczną grą zimnych słów, ale nikt nie może czuć większej nade mnie miłości ku tobie!

Łzy napęłniły oczy słuchaczy, a mury budynku zdrząły od okrzyków zachwytu.

Pundarik, słysząc te ogólne objawy uczuć, potrząsnął majestatycznie głową. Potem powstał i rzucił w tłum pogardliwe pytanie: – I cóż jest wyższego ponad słowo? – I jednej chwili zamilkł tłum cały.

Pundarik zaczął teraz ze zdumiewającą uczonością wywodzić, że od samego początku świata słowo było wszystkim, bo sam Bóg jest – słowem.

Przywiódł ogromną ilość dowodów zaczerpniętych z pism świętych i z tego materiału zbudował słowu ołtarz tak wysoki, iż ze szczytu jego królowało nad wszystkim, co jest na ziemi i niebie. Na koniec powtórzył znowu potężnym głosem: – I cóż jest wyższego ponad słowo?

Spojrzał dumnie wokół, ale nikt nie miał odwagi przyjąć wyzwania, przeto usiadł z wolna, niby lew, który właśnie nasycił się do woli ciałem i krwią swej ofiary. Uczni bramami zawołali znowu: „Brawo!”. Król zamilkł ze zdumienia, a poeta Szekhar uczył, że wobec tej niesłychanej uczoności jest wprost niczym. Na ten dzień zapasy były skończone i zebrani rozeszli się.

Nazajutrz zaczął pierwszy Szekhar pieśń swoją. Opiewał dzień, w którym fletnia miłosna po raz pierwszy zmaćła ciszę lasu Brindy. Pasterki nie wiedziały, kto gra i skąd pieśń dolatuje. Raz wydało się, że płynie z wiatrem południowym, czasem znów brzmiała od strony chmur sunących ponad wzgórzami. Płyneła, niosąc poselstwo z kraju, gdzie wschodzi słońce, i wiała się pasmem westchnień i mgłą tęsknoty od strony doliny zachodu. Gwiazdy były, zda się, klawiaturą tajemniczego tego instrumentu, przepajającego melodią nocne marzenia. Muzyka płynęła z wszystkich stron jednocześnie, od pól i gajów, od drożyn, otoczonych żywopłotami głógów, i pustynnych gościńców, od strony jasnego szafiru nieba i sytej zieleni łąk.

Pasterki nie rozumiały jeszcze tej pieśni i nie wiedziały, co oznacza tęsknota tuląca się w głębi ich serduszek. Do oczu napływały im łzy, a życie wyrывało się z piersi i dążyło ku otchłani śmierci, by się w niej pogrążyć na zawsze.

Szekhar zapomniał o tłumie słuchaczy, zapomniał, że toczy walkę ze współzawodnikiem potężnym. Czuł się samotny, otaczały go jeno myśli własne, szeleszczące wokół niby listowie drzewa, poruszane letnim powiewem. Stał i nucił pieśń o flecie miłosnym, a przed oczyma miał postać utworzoną z cienia i lekkiego pobrzęku cichych, dalekich kroków.

Skończył i usiadł. Niewysłowione uczucie tęsknego upojenia, nieokreślone i bezkresne, przeniknęło słuchaczy tak, że zapomnieli wyrazić swego uznania. Gdy ukończyły się fale tego wzruszenia, stanął Pundarik przed tronem i wezwał swego współzawodnika, by objaśnił, kto jest kochankiem, a kto kochanką. Mówiąc to, spozierał wokoło wzrokiem pełnym pychy na swoich zwolenników, a po chwili zapytał znowu: – Kim jest kochanek Kriszna, a kim kochanka Radha?

Nie doczekawszy się odpowiedzi, począł objaśniać etymologię tych słów i wykladał ich znaczenie w najrozmaitsze sposoby. Ze zręcznością niezrównaną przesunął przed oniemiałymi słuchaczami wszystkie najzawilsze systematy filozoficzne szkół najodmienniejszych. Oddzielał od siebie litery owych imion, pędził je wkoło szalonym wirem, smagał, deptał, niweczył biczem nieubłaganej logiki, aż padły w proch i znikły. Potem jednak podejmował je na nowo, kojarzył, nadawał im

odmienne znaczenie i czynił cuda, na jakie nie było stać najbystrzejszego słowotwórcy.

Uczeni popadli w ekstazę, głośno objawiali swe uwielbienie, a tłum im przytakiwał, poddając się ułudzie, że oto dziś, w ich oczach, cudem intelektu rozdarta została do ostatniego strzępka ciemna opona osłaniająca prawdę. Owo mistrzostwo zachwyciło ich do tego stopnia, że zapomnieli spytać, czy poza ową zasłoną rzeczywiście znajdowała się prawda.

Król sam oniemiał z podziwu. Atmosfera oczyszczona została zupełnie z wszelkich urojeń poetycznych, a świat, okryty do niedawna zieloną runią wiosny, wyglądał teraz jak szeroki, wyśmienicie i równo wybrukowany gościniec.

Ludowi wydało się, że pieśniarz ich to mały chłopiec biegnący obok olbrzyma, który z pewnością nieugiętą kroczy poprzez świat słów i myśli, wdeptując w ziemię wszystkie trudności i przeszkody z łatwością niezmierną. Po raz pierwszy przyszło im na myśl, że poezje Szekhara są śmiesznie proste i dziecinne, tak że każdy mógłby sam sporządzić takie same. Nie było w nich nic nowego ani trudnego do pojęcia, nie były też pouczające ani niezbędne nikomu.

Król usiłował znaczącymi spojrzeniami zachęcić swego poetę do ostatniego wysiłku. Ale Szekhar nie zwracał na nic uwagi i siedział, milcząc, na swoim miejscu.

Wówczas król rozgniewał się, powstał, zdjął ze swego zawoju sznur pereł, uwieńczył nim głowę Pundarika, a wszyscy zebrani objawili jednogłośnie swą aprobatę. Z góry od strony balkonu

dobiegł lekki szelest, niby szmer poruszającej się szaty, i pobrząk złotych dzwoneczków. Szekhar wstał z siedzenia i wyszedł.

Noc była ciemna. Wąski sierp ubywającego księżyca siał słabe światło. Poeta wyjął z szafy swe rękopisy i rozrzucił po podłodze. Niektóre z nich zawierały pierwsze jego wiersze, o których już niemal zapomniał. Przerzucał karty i odczytywał urywki. Wydały mu się wszystkie nędzne i bez treści, widział w nich jeno słowa puste i naiwne rymy.

Potargał tedy jeden po drugim i rzucił w ogień, mówiąc: – Tobie je składam w ofierze, o piękny, połyskujący płomieniu. Przez cały ciąg owych daremnie straconych lat jaśniałeś w sercu moim. Gdyby serce moje było złotem, wyszłoby świetne z tej próby ogniowej. Ale jest ono jeno kawałkiem porosłej trawą darniny, przeto pozostanie zeń mała garstka popiołu.

Noc coraz głębsza nadpływała powoli. Szekhar otworzył okna. Pokrył łożę swoje białymi kwiatami, które kochał najbardziej, jaśminem, tuberozami i chryzantemami, potem zaś zniósł do jednej komnaty wszystkie lampy, jakie posiadał, i zaśwycił je. Następnie wmieszał do czary miodu sok trującego korzenia, wypił ten napój i położył się na pościeli.

Nagle zabrząkły w przedsionku złote obrączki, a powiew wiatru przyniósł do wnętrza rozkoszny zapach.

Poeta zamknął oczy. – O, pani moja – wyszeptał – nareszcie ulitowałaś się nad sługą i przybywasz do mnie!

Odpowiedział mu głos słodki: – Poeto mój, przyszedłam do ciebie!

Szekhar otworzył oczy i ujrzał przy łożu postać niewieściami. Widział ją jak przez mgłę i wydało mu się, że jest to twór uczyniony z cienia, owego cienia, który tak długo przechowywał w najtajniejszej skrytce swego serca. Teraz, w ostatniej godzinie życia, wychylił się ów cień na świat, by mu ukazać swoje oblicze.

Postać rzekła: – Jestem królowna Adżita! – Ostatnim wysiłkiem uniósł się poeta na posłaniu, a królowna szepnęła mu do ucha: – Król popełnił wobec ciebie niesprawiedliwość. Tyś to, poeto mój, odniósł zwycięstwo, a ja przybyłam uwieńczyć twoje czoło!

Powiedziawszy to, zdjęła ze skroni wieniec kwiatów, złożyła go na głowie poety, a Szekhar padł martwy na łożo.

Maszi

I

– Maszi!

– Śpij, śpij, drogi Dżatinie, już bardzo późno!

– To nic! Nie pożyję już i tak długo. Właśnie myślałem o tym, że Mani powinna by jechać do swego ojca... gdzież on to mieszka?

– W Sitarampurze.

– Tak... W Sitarampurze! Wyślij ją tam. Niedobrze, by dłużej męczyła się przy chorym człowieku. Sama jest słabowita.

– Cóż ty mówisz? Czy sądzisz, że zgodziłaby się opuszczać cię w tym stanie?

– Więc wie, co lekarze...?

– Sama to dobrze widzi. Kiedym jej niedawno dała do poznania, że powinna by wracać do ojca, omal sobie nie wypłakała oczu.

Musimy objaśnić, że słowa te paczyły po trochu prawdę... mówiąc oględnie. W rzeczywistości rozmowa z Mani miała przebieg następujący:

– I cóż, droga Mani, czy dostałaś wiadomości od ojca? Zdaje mi się, że widziałam tu kuzyna twego, Anatha!

– Tak, dostałam wiadomość, że w przyszły piątek odbędzie

się uroczystość annapraszanu² mojej małej siostrzyczki, dlatego też myślę, że trzeba by...

– Dobrze... dobrze. Poślij jej złoty łańcuszek na szyję. Ucieszy to matkę twoją!

– Rada bym jechać sama. Jeszcze nie widziałam tej mojej siostrzyczki, a bardzo bym chciała ją zobaczyć.

– Jak to? Czyż mówisz serio? Mogłabyś opuścić biednego Dżatina? Czyś nie słyszała, co mówił lekarz?

– Ależ powiedział przecież, że na razie nie ma powodu do...

– Choćby tak i było, widzisz przecież, jak jest chory!

– To pierwsza córeczka po trzech synach i wszyscy się tak cieszą. Słyszałam, że ma być śliczna. Jeśli nie przyjadę, matka moja bardzo...

– Wiem, wiem. Co prawda nie pojmuję twej matki, ale wiem dobrze, że ojciec twój rozgniewa się bardzo, że opuściłaś Dżatina właśnie w takiej chwili.

– Napisz doń kilka słów, że nie ma na razie żadnego powodu do obaw, a nawet gdybym na czas krótki wyjechała...

– Masz słuszość! Nawet gdybyś wyjechała, niewiele poniesie uszczerbku. Ale wiedz, że jeśli napiszę do twojego ojca, to powiem mu, co o tym wszystkim sądzę!

– Nie, nie pisz wcale! Sama zapytam męża i pewna jestem...

– Słuchaj, Mani! Zniosłam niejedno od ciebie, ale jeśli to

² *annapraszan*, *annaprashana* a. *onnoprashon* – hinduistyczny rytuał przejścia, uroczystość odprawiana w dniu, w którym niemowlę po raz pierwszy jest karmione czym innym, niż mleko matki. [przypis edytorski]

uczynisz, to między nami wszystko skończone! Ojciec twój zna cię zresztą zbyt dobrze, byś go mogła w błąd wprowadzić.

Maszi odeszła, a Mani mocno niezadowolona rzuciła się na łóżko.

Naraz zjawiła się jej przyjaciółka, mieszkająca w sąsiedztwie, i spytała, co zaszło.

– Pomyśl sobie! Co za okropność! Nadchodzi annapraszan mojej jedynej siostry, a oni nie chcą mi pozwolić jechać!

– Mani! Jakże możesz myśleć na serio o wyjeździe, kiedy mąż twój tak ciężko chory?

– Nic dlań nie robię, a nawet choćbym chciała, nie mogłabym mu w niczym ulżyć. Powiem ci otwarcie: nudzę się śmiertelnie w tym domu i nie mogę tu dłużej wytrzymać.

– Dziwna z ciebie kobieta.

– Nie umiem udawać, jak wy wszystkie, przybierać smutnej miny, by uniknąć złej opinii.

– Więc powiedz, co chcesz uczynić?

– Wyjadę! Nikt mnie nie zatrzyma!

– Ho... ho! Cóż za uparta i samowolna osóbką!

II

Gdy Dżatin usłyszał, że Mani płakała na samą myśl wyjazdu do rodzinnego domu, uczuł takie podniecenie, że musiał usiąść w łóżku. Podsunął sobie poduszkę pod plecy, oparł się o nią i powiedział: „Maszi, otwórz na chwilę okno i zabierz lampę!”.

U okna stała milcząca noc jako pielgrzym w drodze ku wieczności, a do wnętrza zaglądały gwiazdy, świadki niezliczonych walk śmiertelnych w ciągu nieprzeliczonych stuleci.

Dżatin widział na tle nocy twarz swej drogiej Mani i jej ciemne oczy, z których spływały ciągle łzy.

Maszi odetchnęła z ulgą, widząc, że taki spokojny. Sądziła, że zasnęła.

Nagle uczynił szybki gest i powiedział: „Maszi, mówiliście wszyscy, że Mani jest za lekkomyślna i płytka, by się czuć szczęśliwą w naszym domu. Ale teraz, widzisz...”.

– Tak, mój drogi, przyznaję, że się myliła. Próba może jeno dać pojęcie należyte o człowieku.

– Maszi!

– Spróbuj zasnąć, drogi Dżatinie.

– Pozwól mi trochę pomyśleć i pogadać! Nie gniewaj się, Maszi!

– Mów, skoro chcesz!

– Wówczas, gdym sądził, że nie zdołam osiąść serca Mani,

znosiłem to cierpliwie. Ale ty...

– Ja... o, nie mów tak, i ja znosiłam to...

– Serca, widzisz, nie są to przedmioty bez życia, które się tylko bierze i zaraz posiada. Czułem, że Mani nie zna swego własnego serca i że pewnego dnia jakieś silne wrażenie, jakieś przeżycie...

– Tak, Dżatinie. Masz słuszność.

– Dlatego też nie zwracałem uwagi na jej kaprysy.

Maszi milczała, tłumiąc westchnienie. Nie raz, ale wiele razy widziała, jak Dżatin spędzał noce na werandzie. Wołał przemoknąć do nitki na deszczu czy rosie, jak udać się do swej sypialni. Po całych nieraz dniach czekał w gorączce i tęsknił, i czekał, by Mani przyszła i położyła dłoń na jego gorącym czole, a Mani tymczasem stroiła się, by iść do teatru. Ale gdy Maszi zjawiała się, by go chłodzić wachlarzem, odprawiał ją z niechęcią. Maszi jedna znała jego wielką troskę. Ileż razy mogła mu powiedzieć: „Nie zwracaj uwagi na tę kapryśnicę, niech zazna tęsknoty i łez”. Ale czyż można powiedzieć coś takiego bez spowodowania nieporozumień? Dżatin wystawił w sercu swym ołtarz bóstwu kobiecości i Mani królowała na nim. Nie mógł uwierzyć, by nie przypadł mu udział w winie miłości, którym to bóstwo obdarza ludzi. Zanosił tedy dalej modły i składał ofiary, i nie porzucał nadziei, że dar otrzyma.

Maszi znowu myślała, że Dżatin zasnął, gdy nagle wykrzyknął żywo:

– Wiem dobrze, sądziłaś, że nie jest z Mani szczęśliwy, i dlatego gniewałaś się na nią. Ale, Maszi, szczęście nasze

podobne jest do gwiazd. Nie zasłaniają one całej ciemności, lecz widać ją wszędzie pomiędzy nimi. Te luki to błędy i omyłki ludzkie. Popołniamy błędy w życiu i pojmujemy wiele rzeczy fałszywie, ale światło prawdy dociera do nas w końcu. Nie wiem, czemu w sercu moim tyle dzisiaj radości?

Maszi gładziła z lekka czoło Dżatina, a łzy jej spływały po policzkach w ciemności niedostrzeżone.

– Myślałem właśnie, droga Maszi... ona taka młoda... Cóż uczyni, kiedy ja...?

– Młoda! O mój Dżatinie, nie jest znów taka młoda! I ja byłam młoda, kiedy straciłam ukochanego, ale odnalazłam go w sercu moim na zawsze. Czyż to w ogóle była strata? Czy zresztą sądzisz, że człowiek koniecznie musi być szczęśliwy?

– Maszi... wydaje mi się, że właśnie w chwili, kiedy przebudziło się serce Mani...

– Nie smuć się tym, Dżatinie. Czyż nie dość, że się przebudziło? Czyż to mała rzecz?

Nagle przyszedł Dżatinowi na myśl słowa ludowej piosenki, słyszane dawniej:

O serce moje, nie zbudziłeś się wtedy,
Kiedy kochanek zapukał do drzwi...
Dopiero szelest kroków jego, gdy odchodził,
Zbudził cię ze snu... i narodziłeś się do życia, w ciemności...

– Maszi! Która godzina?

– Dochodzi dziewiąta.

– Tak wcześnie jeszcze? Myślałem, że musi być co najmniej druga albo trzecia w nocy. Północ moja zaczyna się zaraz po zachodzie słońca. Dlaczegoż więc chciałaś, bym spał?

– Wiesz przecież, jak długo nie spałeś i rozmawiałeś wczoraj. Dlatego powinieneś dzisiaj zasnąć wcześniej.

– Czy Mani już śpi?

– O nie, gotuje dla ciebie zupę.

– Żartujesz chyba, Maszi? Czy naprawdę gotuje?

– Prawdę mówię. Ona wszystko gotuje dla ciebie. To bardzo pilna żoneczka.

– Sądziłem, że Mani wcale...

– Kobieta nie musi się długo uczyć tych rzeczy. Kiedy zajdzie potrzeba, umiejętność ta przychodzi sama z siebie.

– Rybna zupa, którą jadłem dziś rano, miała taki wyśmienity smak. Myślałem, żeś ją ty gotowała.

– O nie... skądże by! Mani zresztą nie dopuściłaby do tego. Pierze sama wszystką twoją bieliznę, wiedząc, jak jesteś wybredny pod tym względem. Szkoda, że nie możesz widzieć, jak w twojej pracowni wszystko ślicznie poustawiane i wyczyszczone... a w innych pokojach także. Gdybym ją częściej tutaj wpuszczała, zrobiłaby to samo w sypialni, domaga się tego nawet, ale to by ją zanadto wyczerpało.

– Jakże z jej zdrowiem?

– Lekarz nie pozwala przebywać jej za często przy tobie. Powiada, że ma zbyt wrażliwe serce.

– Ależ, Maszi, jakże możesz jej zabraniać wstępu?

– Słucha mnie ślepo. Dopytuje ciągle o ciebie.

Gwiazdy połyskiwały na firmamencie niby wielkie łzy. Dżatin pochylił głowę i dziękował za szczęście życiu swemu, w chwili gdy zabierało się do odejścia, a gdy wyciągnęła się dłoń śmierci, ujął ją z zaufaniem.

Po chwili westchnął i powiedział z odcieniem niecierpliwości:

– Maszi, jeśli Mani nie śpi jeszcze, czyżbym nie mógł... bodaj na chwilę...?

– Naturalnie... zawołam ją.

– Nie zatrzymam jej długo, tylko pięć minut, rad bym jej powiedzieć coś ważnego.

Maszi westchnęła i poszła do Mani. Tymczasem tętno chorego wzmoгло się bardzo, czuł, że serce jego bije gwałtownie. Wiedział dobrze, że nie zdoła mówić z żoną poufnie. Dwa te instrumenty były zupełnie na inny ton nastrojone i niepodobna było wydobyć z nich harmonijnego akordu. Często miewał Dżatin napady zazdrości, słysząc, jak Mani papie ze swymi przyjaciółkami i śmieje się wesoło. Dżatin obwinał samego siebie. Czemuż nie umiał gadać o byle czym, jak ona? To jest, nie brakło mu tej zdolności, rozmawiał wszakże ze swymi przyjaciółmi nieraz o rzeczach potocznych. Ale paplanina dozwolona mężczyznom nie przystoi wszakże kobietom. Można wygłaszać wobec drugich monolog filozoficzny bez zwracania uwagi na słuchaczy, ale w rozmowie lekkiej muszą brać udział co najmniej dwie osoby. Można grać we dwoje na jednych cymbałach, ale na kobzie grywa jedna osoba. Nieraz usiłował

Dżatin, siedząc wieczorami z Mani na tarasie, nawiązać poufną pogawędkę, wysiłał się, by ją zająć, ale za chwilę urywał się wątek rozmowy. Wydawało się, jakby wieczór wstydział się jego milczenia. Dżatin czuł, że Mani pragnie się odeń oddalić, że tęskni do tego. Czasem chciał, by zjawił się ktoś trzeci, bo zwykle udaje się rozmowa we troje, mimo że jej we dwójkę wieść nie sposób.

Zaczął rozmyślać nad tym, co powie, gdy Mani przyjdzie. Ale taka sztucznie ułożona rozmowa nie zadowalała go i Dżatin obawiał się, że te pięć minut dzisiejsze będzie stracone. A przecież tak mało czasu pozostało mu na porozumienie i rozmowę.

III

- Cóż to znaczy? Gdzież się to wybierasz?
- Do Sitarampury. Muszę tam jechać.
- Cóż za okrutny pomysł? No, ale któż z tobą pojedzie?
- Anath.
- Nie, dziś jechać nie możesz, moja droga. Jutro!
- Kajuta już opłacona!
- To nic, niewielka strata. Możesz jechać jutro rano.
- Maszi, nie mam przesądów co do feralnych dni kalendarza.

Cóż to może szkodzić, że dziś pojedę?

- Dżatin chce pomówić z tobą!
- Dobrze, mam jeszcze trochę czasu. Pójdę doń i załatwię się prędko.

– Ale nie mów mu, że wyjeżdżasz!

– Dobrze, nie wspomnę o tym. Tylko długo pozostać nie mogę u niego. Jutro jest annapraszan mojej siostry i dzisiaj jechać muszę!

– Proszę cię, droga Mani, usłuchaj mnie bodaj raz jeden! Posiedź przez chwilę spokojnie, opanuj się. Niech nie spostrzeże, że ci tak pilno!

– To trudno! Pociąg nie zaczeka, ani statek. Anath przyjdzie tu za dziesięć minut najdalej. Tak tylko długo mogę z nim mówić.

– Nie, to na nic! W tym nastroju nie możesz się mu pokazywać. Nie wpuszczę cię wcale. O, ty marna istoto,

człowiek, którego tak dręczysz, niedługo opuści ten świat! Ale zapowiadam ci... popamiętasz dzień dzisiejszy na całe życie! Przekonasz się niezadługo, że istnieje sprawiedliwość boska!

– Maszi, czemu mi złorzeczysz?

– O, biedny mój bracie! Czemuż nie zmarłeś wcześniej? Grzech ten nie ma końca, a nie jestem w możności zapobiec mu!

Maszi wahała się przez chwilę, potem wróciła do pokoju chorego w nadziei, że zasnął tymczasem. Ale poruszył się na łóżku, gdy weszła. Maszi wykrzyknęła od samego proga:

– Wyobraź sobie, co Mani uczyniła!

– Co się stało? Czy nie przyjdzie? Czemu byłeś tam tak długo, Maszi?

– Zastałam Mani płaczącą gorzko, albowiem przypaliła śmietankę przeznaczoną do twojej zupy. Pocieszałam ją, jak mogłam, przekonując, że jest jeszcze więcej śmietanki na świecie. Ale myśl, że mogła być tak nieuważna i zepsuć śmietankę przeznaczoną dla ciebie, doprowadziła ją do rozpacz. Z wielkim trudem zdołałam ją uspokoić nieco i położyłam do łóżka. Dlatego nie przyszła. Pozwól, niech zapomni we śnie o strapieniu.

Jakkolwiek przykro było Dżatinowi, że Mani nie przyszła, uczuł niejaka ulgę. Obawiał się po trochu w głębi duszy, że rzeczywista Mani zmaci ten obraz, jaki sobie wytworzył o niej. Ale myśl, że Mani uczuła się nieszczęśliwa przez to, iż spaliła jego śmietankę, napełniła mu serce niezmierną radością.

– Maszi!

– Co, mój drogi?

– Jestem pewny, że się zbliża mój zgon. Ale nie smuci mnie to. I ty nie martw się także!

– Nie będę się martwiła. Wiem, że nie tylko życie jest dobrem, ale także śmierć.

– Wierzaj mi, Maszi, śmierć to rzecz słodka.

Dżatin leżał spokojnie wpatrzony w nocne niebo. Wydawało mu się, że śmierć w postaci Mani zbliża się doń. Była młoda wiekuiłą krasą, gwiazdy były to kwiaty rozrzucone po jej ciemnych włosach błogosławiącą dłonią wielkiej matki świata. Wydawało mu się, że oto po raz pierwszy widzi ją pod ślubnym muślinem. Niezmiernie rozrzewniło go miłosne spojrzenie jej oczu. Mani narzeczona, Mani młoda dziewczyna stała się uosobieniem bóstwa królującego na ołtarzu gwiazd, gdzie łączą się w jeden dwa strumienie: życia i śmierci. Dżatin złożył do modlitwy ręce i szeptał: „Nareszcie uniosła się zasłona, rozdarta została opona ciemności! Najdroższa! O, jakże często dręczyłaś moje serce! Teraz nie opuścisz mnie już!”.

IV

– Czuję bóle, droga Maszi, ale nie myśl, że cierpię. Wydaje mi się, jakoby te bóle odłączały mnie powoli od życia. Dotąd wlokły się za nim jak obładowane czółno ciągnione za statkiem na linie. Teraz lina zerwana i oto prąd wody pędzi je w przepaść wraz z wszystkim, co mi tak ciążyło. Widzę je jeszcze, ale nie mają już ze mną nic wspólnego. Maszi... już przez dwa dni nie widziałem wcale Mani!

– Dżatinie, czekaj, dam ci inną poduszkę.

– Wydaje mi się, moja Maszi, jakby mnie Mani także opuściła i poszła z prądem jak owa łódź pełna ciężarów cierpienia.

– Może byś się napił trochę soku z granatu, mój drogi. Musiało ci całkiem wyschnąć w gardle.

– Spisałem wczoraj testament. Czym ci go pokazał? Doprawdy nie mogę sobie przypomnieć...

– Nie masz potrzeby pokazywać mi go, Dżatinie.

– Gdy matka zmarła, nie posiadałem nic. Tyś mnie żywiła i wychowywała. Dlatego sędzę...

– Głupstwo, mój drogi. Miałam tylko ten dom i trochę pieniędzy. Resztę zarobiłeś sam.

– Ale ten dom...

– Nic nie znaczy! Przybudowałeś doń tyle, że dziś trudno poznać, gdzie był mój dom.

– Jestem pewny, że miłość Mani ku tobie...

– Tak... tak, Dżatinie. Spróbuj teraz trochę zasnąć!

– Jeśli całe swe mienie zapisałem Mani, to w praktyce pozostanie ono twoim, Maszi. Ona wszakże we wszystkim jest ci powolna...

– Czemuż dręczysz się tym wszystkim, mój drogi?

– Wszystko, co mam, zawdzięczam tobie. Ujrawszy mój testament nie myśl ni przez chwilę...

– Cóż za przypuszczenie, Dżatinie? Sądzisz więc, że mogłabym ci brać za złe, że dajesz Mani to, co jest twoją własnością? Wszakże nie jestem tak małostkowa!

– Ale ty także...

– Przestań, Dżatinie, bo się pogniewam! Chcesz mnie pocieszyć pieniędzmi?

– Ach, moja Maszi! Jakże chętnie dałbym ci coś, co lepsze o wiele od złota!

– Uczyniłeś to już, i w ogromnej nawet mierze! Wypełniłeś całe moje samotne życie! Było to wielkie szczęście i myślę, że musiałam na nie chyba zasłużyć w poprzednim swoim życiu. Dałeś mi tyle, że teraz, gdy to życie nic mi już dać nie może, nie będę się wcale żaliła. Tak... tak... Zapisz Mani wszystko, dom, pieniądze, powozy i posiadłość rolną... Dla mnie byłoby to zbyt wielkim ciężarem.

– Wiem, że utraciłaś upodobanie w uciechach tego świata. Ale Mani tak młoda...

– O nie! Nie mów tego! Słusznie czynisz, pozostawiając jej majątek, ale co do uciech życia...

– Wszakże ma do nich prawo, Maszi!

– Nie, nie będzie mogła z nich korzystać z powodu brzemienia bólu po twojej stracie. Wydadzą jej się marnością, garstką pyłu...

Dżatin umilkł. Nie mógł rozstrzygnąć, czy to prawda, czy nie, i nie wiedział, czy ma żałować, że świat bez niego wyda się Mani wstrętny.

Westchnął i powiedział: „Tego, co rzeczywiście warte coś, nie możemy zapisać nikomu!”.

– Niemale są to rzeczy, które dajesz, mój drogi, i pragnę tylko, by ona zrozumiała wartość tego, co dostaje.

– Daj mi jeszcze trochę soku z granatu, Maszi, pić mi się chce bardzo! Więc naprawdę Mani przysłała wczoraj do mnie?

– Tak, była, ale właśnie spałeś wtedy. Długo siedziała u twego wezgłowa i chłodziła cię wachlarzem. Potem odeszła, by naprawić twą bieliznę.

– To ślicznie! Zdaje mi się, że właśnie w tej chwili śniłem, iż Mani usiłuje wejść do pokoju. Drzwi były tylko przyparte, ona popychała je, ale nie chciały się otworzyć. Maszi, posuwasz się za daleko, powinnaś ją uwiadomić, że ja umrę. Inaczej śmierć moja będzie dla niej straszliwym ciosem.

– Czekaj no! Położę ci ten szal na kolanach. Masz zimne nogi.

– Nie, Maszi! Nie mogę tego znieść.

– Czy wiesz, Dżatinie, że to Mani utkała ten szal? Pracowała pilnie w porze, kiedy powinna była kłaść się spać. Dopiero wczoraj skończyła go.

Dżatin pogładził szal czule. Dotykał jedwabistej miękkiej

węlny i wydawało mu się, że trzyma w ręku dłoń Mani. Noc w noc tkala go i miłosne, dobre myśli wplatała w tę robotę. Szal nie był z wełny, ale składał się cały z dotknięć Mani. Gdy Maszi okryła mu szalem nogi, wydało mu się przeto, że pieści je Mani.

– Maszi! Zdaje mi się, że Mani nie umie tkać! W każdym razie nie cierpi tej roboty!

– Kobieta uczy się z łatwością robót ręcznych. Naturalnie musiałam jej pokazać, jak się ma brać do rzeczy. Narobiła też mnóstwo omyłek i pospuszczała mnóstwo oczek.

– To nic, to nic... Nie pošlemy tego szala na wystawę paryską! Mimo pomyłek grzeje mi doskonale nogi!

Dżatin zaczął sobie w duchu malować, jak wyglądać musiała Mani przy pracy, jak popełniała omyłki, gubiła osnowę i nie mogła dojść do końca z robotą. A mimo to każdego wieczoru pracowała cierpliwie. Jakież to wzruszające widowisko! I znowu począł gładzić szal z rozrzewnieniem.

– Maszi, czy przyszedł lekarz?

– Tak, jest na dole. Chce zostać na noc tutaj.

– Powiedz mu, że to jest bezcelowe. Nie chcę też nasennego środka. Nie daje mi on spoczynku, a czuję się tylko gorzej po nim. Pozwól mi czuwać... dobrze? Wiesz, Maszi, że ślub nasz odbył się w maju, w noc, kiedy księżyc był w pełni. Jutro przypada rocznica tego dnia i na niebie ukażą się te, co wówczas, gwiazdy. Mani pewnie o tym zapomniała. Chciałbym jej to przypomnieć... zawołaj ją tu na chwilę! Czemuż milczysz? Pewnie ci lekarz powiedział, że jestem tak słaby, że każde

wzruszenie... ale zapewniam cię, Maszi, że ta kilkuminutowa rozmowa z nią tak mnie uspokoi, iż nie będę potrzebował brać nasennego środka. Maszi, nie płaczże tak strasznie! Czuję się całkiem dobrze, serce moje tak radosne dzisiaj, jak może nigdy dotąd nie było. Dlatego chciałbym zobaczyć Mani! Nie... nie, Maszi... nie mogę znieść twego okropnego łkania. Przez kilka dni ostatnich byłaś taka spokojna... Cóż ci się stało nagle?

– Ach, Dżatinie! Myślałam, że wyplakałam już moje łzy, ale płyną... płyną... i nie mogę ich powstrzymać.

– Zawołaj Mani! Chcę jej przypomnieć rocznicę naszego ślubu, tak, by jutro...

– Idę... już idę! Szombhu będzie czuwał pod drzwiami. Zawołaj go, gdyby ci czego było potrzeba.

Maszi poszła do sypialni Mani i padła, łkając na podłogę. „O przyjdźże, przyjdź!” – wołała. – „Bodaj ten jeden raz przyjdź, istoto bez serca. Spełń ostatnią prośbę tego, który ci dał wszystko, co posiadał. Umiera już! Nie zadaj mu ostatniego ciosu!”

Dżatin posłyszał w korytarzu kroki i zawołał:

– Mani!

– To ja, Szombhu! Czy mój pan raczył mnie wołać?

– Powiedz twej pani, by tu przyszła!

– Kto ma przyjść, panie?

– Twoja pani!

– Jeszcze nie raczyła powrócić!

– Powrócić? Skąd?

– Z Sitarampury!

– Kiedyż wyjechała?

– Przed trzema dniami!

Przez chwilę był Dżatin pogrążony w zupełnym oszołomieniu i wszystko kręciło mu się przed oczyma. Zsuwał się z poduszek podpierających plecy i stracił z kolan wełniany szal.

Gdy po dobrej chwili Maszi wróciła, Dżatin nie wspomniał wcale imienia Mani i Maszi myślała, że o wszystkim zapomniał.

Nagle zawołał: „Maszi, czym ci opowiadał sen mój wczorajszy?”.

– Jaki sen?

– Sen, w którym wydawało mi się, że Mani popycha drzwi, ale drzwi nie chcą się otworzyć szerzej jak na jeden cal? Stała w korytarzu i wejść nie mogła. Teraz wiem, że aż do końca Mani pozostać musi na zewnątrz, pod moimi drzwiami.

Maszi nie odpowiedziała ni słowa. Przekonała się, że sklepienie owego raju złud, zbudowanego z kłamstw, zapadło się mimo wszystkich jej wysiłków. Gdy nadchodzi cierpienie, najlepiej nie unikać go wcale. Bóg uderza, czyż można umknąć przed jego ciosem?

– Maszi! Miłość, jaką mi dałaś, trwać będzie przez wszystkie przyszłe wcielenia moje. Wypełniła całe moje obecne życie, przeto zabieram ją z sobą. Pewny jestem, że w przyszłym życiu odrodzisz się jako moja córka, a ja z wielką miłością będę cię strzegł od złego i hodował.

– Co mówisz, Dżatinie? Sądzisz, że znowu urodzę się

dziewczyną? Pomódl się, bym została synem twoim.

– Nie, nie chcę syna. Przyjdiesz na świat w moim domu tak samo niezrównanie piękna, jaką byłeś czasu młodości. Wyobrażam sobie już, jak cię będę ubierał.

– Nie mów tyle, Dżatinie! Spróbuj zasnąć.

– Dam ci imię Lakszmi³.

– Ależ to imię staromodne, Dżatinie!

– Tak. Ale ty jesteś także staromodna, Maszi. Powróć do mnie z twą śliczną, tą samą duszą!

– Nie chcę sprawić w domu twym zawodu, przybywając jako dziewczyna, każdy życzy sobie chłopca!

– Maszi, sądzisz, że jestem słaby, i chcesz mi oszczędzić wszelkich uciążliwości?

– Mój drogi, jestem kobietą i posiadam właściwe mej płci słabostki. Dlatego przez całe życie chciałam ci oszczędzić wszystkiego, co przykre, ale... nie udało mi się.

– Maszi! Nie starczyło mi w tym życiu czasu na zastosowanie wszystkich tych nauk, jakie posiadałem. Ale skorzystam z tej wiedzy w życiu przyszłym. Pokażę wówczas, do czego zdolny jest mąż wielki. Nauczyłem się, że źle jest myśleć wyłącznie o sobie.

– Mów, co chcesz, mój drogi, ale nigdy niczego nie pożądałeś dla siebie, wszystko dawałeś innym.

– Jedno mogę przyznać. W szczęściu nigdy nie byłem

³ *Lakszmi* (mit. hind.) – bogini szczęścia, bogactwa i piękna, wcielenie wszelkich cnót, żona boga Wisznu. [przypis edytorski]

tyranem i nie dążyłem do pozyskania przemocą tego, co mi się należało. Ponieważ nie mogłem okłamywać samego siebie, przeto musiałem czekać długo. Ale może prawda na koniec okaże mi się łaskawa... Kto tu jest, Maszi? Kto tu?

– Gdzie? Nie ma nikogo, Dżatinie!

– Maszi! Popatrz no do drugiego pokoju. Zdawało mi się...

– Nie, nie, mój drogi! Nie widzę nikogo.

– Zdawało mi się zupełnie wyraźnie...

– Nie, Dżatinie! Nie ma nikogo. Uspokój się. Właśnie nadchodzi lekarz.

Gdy lekarz wszedł, powiedział do Maszi:

– Proszę nie przesiadywać tak ciągle przy chorym. Pani go drażni. Proszę się położyć spać. Mój asystent będzie czuwał.

– Nie, Maszi, nie puszczę cię!

– Dobrze, mój drogi. Będę siedziała cichutko w rogu kanapy.

– Nie, musisz siedzieć przy mnie blisko. Nie puszczę do ostatniej chwili twojej dłoni. Ręka twoja mnie wiodła przez życie i ona odda mnie Bogu.

– No, więc zgoda, pani zostanie. Ale, Dżatinie Babu, nie wolno panu rozmawiać z siostrą! Teraz pora zażyć lekarstwo!

– Zażyć lekarstwo? Nonsens! Minał już czas zażywania lekarstw. Brać teraz lekarstwa znaczy tyle, co okłamywać samego siebie. Zresztą nie boję się wcale śmierci. Maszi, śmierć sposobi mi już swój napój, po cóż ma mnie jeszcze dręczyć lekarz? Odpraw go! Ciebie mi tylko jednej jeszcze potrzeba, poza tym nikogo! Po cóż kłamać jeszcze?

– Jako lekarz zwracam uwagę, że takie rozdrażnienie szkodzi panu bardzo.

– Więc odejdź pan, doktorze, nie drażnij mnie! Czy on już poszedł, Maszi? To dobrze! Zbliź się i połóż mą głowę na swej piersi.

– Tak, tak, drogi mój! A teraz spróbuj spać!

– Nie, Maszi, nie kaź mi spać! Jeśli zasnę, nie zbudzę się już. Muszę jeszcze przez czas jakiś czuwać... O... słyszysz hałas... kroki... ktoś nadchodzi!

V

– Dżatinie! Drogi chłopcze! Otwórz oczy, otwórz bodaj na chwilę oczy! Przyszła! Popatrz no... przyszła!

– Kto przyszedł? Sen?

– Nie sen! Mani przyszła wraz z ojcem swoim!

– Ktoś ty?

– Nie poznajesz? To twoja Mani!

– Mani? Więc zdołała otworzyć drzwi?

– Tak... tak, otwarła na ścieżaj!

– Nie... nie, Maszi... nie chcę tego szala. Ten szal to kłamstwo!

– To nie szal, Dżatinie, to nasza Mani, która oparła głowę o twe kolana. Połóż dłoń na jej głowie i pobłogosław ją. Nie płacz tak, Mani! Masz na to jeszcze dość czasu. Teraz bądź cicho na małą, maleńką chwilkę...

Szkielet

W pokoju przytykającym do naszej sypialni wisiał na ścianie ludzki szkielet. W nocy wiatr wpadający przez okno dzwonił jego kośćmi. Przez cały dzień myśmy wydzwaniali na nich. Uczyliśmy się osteologii od pewnego studenta medycyny, gdyż opiekun nasz postanowił wykształcić nas we wszystkich umiejętnościach tego świata. Czy mu się to udało, nie potrzebujemy mówić tym, którzy nas znają, dla innych niechaj to lepiej pozostanie tajemnicą.

Minęło dużo lat od tego czasu. Szkielet zniknął z pokoju i przepadł gdzieś bez wieści, podobnie jak osteologia z głów naszych.

Przed kilku dniami pełno mieliśmy gości w domu i musiałem spać w dawnym, starym pokoju szkolnym. Ale niezwykajne otoczenie sprawiło, że sen nie jawił się. Przewracałem się z boku na bok i liczyłem uderzenia zegara wydzwanającego jedną godzinę po drugiej. Światelko lampki nocnej malało coraz to bardziej, drżało, mgliło się, błysło raz i drugi, i zagaśło całkiem.

Zdarzyły się w ostatnim czasie w rodzinie naszej smutne przypadki zgonów, nic też dziwnego, że zagaśnięcie lampki przywiodło mi na myśl śmierć. Zacząłem rozmyślać nad tym, że na wielkiej arenie natury taki sam rezultat daje zagaśnięcie lampy, jak kiedy światelko życia ludzkiego pograży się w noc wiekuistą.

Myśli te przywiodły mi na pamięć zapomniany od dawna

szkielet. Zacząłem się zastanawiać, jak mogło wyglądać ciało, które go ongiś osłaniało, gdy nagle wydało mi się, że coś chodzi wokoło mego łóżka i maca po ścianach, jakby czegoś szukając. Słyszałem najwyraźniej szybki oddech owej stwory. Szukała ciągle, nie mogąc znaleźć, i chodziła coraz prędzej po pokoju.

Uświadamiałem sobie, że wszystko pochodzi jeno z wyobraźni podnieconego bezsennością mózgu i że to, co biorę za kroki, jest po prostu tętnieniem krwi w moich własnych skroniach. Ale mimo to uczułem zimny dreszcz. W celu zniweczenia tej halucynacji zawołałem głośno:

– Kto tam?

Kroki ucichły, dziwna istota zatrzymała się tuż obok mnie i posłyszałem odpowiedź:

– To ja! Przyszłam poszukać swego szkieletu.

Byłoby rzeczą sromotną okazywać strach wobec wytworu własnej wyobraźni, przeto powiedziałem z udanym spokojem, chwytając jednak kurczowo kołdrę:

– Ładne zajęcie na noc, ani słowa! Ale cóż, szlachetna istoto, chcesz zrobić z tym szkieletem?

Odpowiedź, jaką otrzymałem, zdawała się wychodzić wprost z gęstej siatki przeciw moskitom, tuż obok mnie rozpiętej:

– Dziwne pytanie! Szkielet ten był częścią mego ciała, żebra jego okrywały moje serce. Rozpięte na nim były wdzięki mej dziewczęcej, dwudziestosześcioletniej postaci. Czyż nie słuszne tedy, że pragnę go zobaczyć raz jeszcze?

– Oczywiście! – odparłem. – Życzenie to jest całkiem

uzasadnione. Proszę tedy szukać dalej, a ja się trochę prześpię.

Głos odparł na to:

– Jest pan samotny, tedy usiądę trochę przy panu i pogawędzimy sobie. Przed laty siadywałam tak obok ludzi i zabawiałam ich rozmową. Ale przez ostatnich lat trzydzieści pięć hulam i jęczę wśród drzew na miejscach palenia zwłok. Toteż zbiera mnie chęćka pogwarzyć, jak dawniej, z człowiekiem.

Uczułem, że ktoś siada tuż przy firance dotykającej mego łóżka. Poddałem się losowi i powiedziałem tak serdecznie, jak tylko mogłem:

– Doskonale! Pogadajmy sobie o czymś wesołym!

– Najweselsza rzecz, jaką znam, to historia mego życia.

Opowiem ją panu.

W tej chwili zegar wybił godzinę drugą.

– W czasie, kiedy bawiłam jeszcze pośród żywych, bałam się na równi ze śmiercią jednego człowieka, mianowicie męża własnego. Co czułam, da się jeno porównać z uczuciem ryby złapanej na wędkę. Obcy człowiek nabił mnie na najostrzejszy ze wszystkich haczyków świata, wyciągnął z domu rodzinnego, gdzie się czułam szczęśliwa, a ja nie miałam sposobu uchronić się przed tym losem. Mąż mój zmarł w dwa miesiące po ślubie, a krewni i przyjaciele wyrażali mi w słowach pełnych patosu swe współczucie. Ojciec mego męża patrzył mi długo i badawczo w twarz, a potem powiedział do teściowej: „Ona ma bardzo złe spojrzenie!”. Czy pan słucha? Spodziewam się, że pana zajmuje

ta historia?

– Bardzo, bardzo! – odparłem. – Początek jest nawet niezwykle wesoły!

– Więc ciągnę dalej. Cieszyłam się bardzo, powróciwszy do rodzinnego domu, odzyskaną wolnością. Ludzie kryli to przede mną, ale wiedziałam dobrze, że jestem olśniewająco piękna. Jakże się panu podobałam... co?

– Oczywiście, wierzę na słowo! – zapewniłem. – Tylko raczy pani uwzględnić, że nie widziałem jej⁴ dotąd na oczy.

– Co? Nie widział mnie pan? A mój szkielet? Ha, ha, ha... No dobrze, żartowałam tylko. Jakże zdołam pana przekonać, że te dwie wielkie dziury w czaszce mieściły ongiś cudne, głębokie, połyskliwe, czarujące oczy? Jakie dam wyobrażenie o powabach śmiechu mego na podstawie owych wyszczerzonych zębów, któreś pan oglądał? Nie, nie potrafię opisać wdzięku i powabu mego młodzieńczego ciała, szlachetnych jego linii i miękkiej falistości, we wszystkim tym tkwiły suche, obrzydłe kościska. Zła jestem doprawdy, myśląc o tym. Najwybitniejszym lekarzom mych czasów nie śniło się nawet, by kościec mój miał służyć kiedyś do nauki osteologii. Zaręczam panu, że pewien mój znajomy, lekarz z zawodu, porównywał mnie do złotego kwiatu czampaku. Mówił, że cała reszta świata to wazon służący za ujęcie i tło mych kształtów. Czyż ktoś myśli o kwiecie czampakowym, patrząc na kościotrupa?

⁴ *Tylko raczy pani uwzględnić, że nie widziałem jej dotąd na oczy* – dziś popr.: Tylko proszę uwzględnić, że nie widziałem pani dotąd na oczy. [przypis edytorski]

Gdym szła, padał ode mnie blask, jaki sieje najcudniejszy brylant, czułam to doskonale, każde me poruszenie słało wokół fale piękna. Mogłam całymi godzinami oglądać swoje ręce, zdolne okiełznać najdzikszego i najoporniejszego mężczyznę.

Niestety, ohydny szkielet dawał o mnie jak najgorsze świadectwo, a ja nie byłam w stanie odeprzeć oszczerstwa. Dlatego też pośród wszystkich ludzi najbardziej nienawidzę pana. Chciałabym panu ukazać się we śnie i tak olśnić mą niezrównaną minioną pięknnością, że nigdy byś już nie mógł zawrzeć powiek, a jednocześnie zapomnieć byś pan musiał o wszystkich głupstwach osteologicznych, jakieś sobie przyswoił, patrząc na ohydne kości moje.

– Przysięgam pani na cudne twoje ciało, którego nie widziałem zresztą nigdy – powiedziałem uroczyście – że w pamięci mej nie pozostało ni szczątka tej wiedzy, a cały mój umysł wypełnia teraz jeno olśniewająca zjawia twjej piękności rozbłyskująca na czarnym tle nocy!

– Nie miałam towarzyski ni przyjaciółki – ciągnął dalej głos tajemniczy. – Jedyne mój brat postanowił nie żenić się nigdy, przeto w komnatach kobiecych mieszkałam sama jedna. Siadywałam sama w ogrodzie, w cieniu drzew, i marzyłam o tym, że cały świat jest we mnie rozkochany, że gwiazdy bezsenne piją spojrzeniem moją pięknność, że wiatr zawodzi tęskne poszumy, ile razy pod jakimś pozorem muśnie moją suknię, i że trawa pod dotknięciem stóp moich – gdyby posiadała świadomość – utraciłaby natychmiast zmysły z rozkoszy. Marzyłam, że wszyscy

młodzieńcy całego świata leżą u mych nóg jak żdźbła trawy, a przy tym smutek niezmierny nappełniał moje serce.

Przyjaciół mego brata, Szekhar, ukończył studia medyczne i został naszym lekarzem domowym. Widywałam go już przedtem parę razy, patrząc spoza fałdów portiery. Brat mój był dziwakiem i unikał świata, nie chciał nań patrzeć, gdyż wydawał mu się za jaskrawy i zbyt ruchliwy. Toteż coraz to bardziej odsuwał się ode mnie i zaszywał w swoim kącie. Szekhar był jedynym jego przyjacielem i zarazem jedynym mężczyzną, na jakiego mi wolno było spoglądać. Toteż gdym marzyła o młodzieńcach całego świata leżących u mych stóp, to każdy z nich był Szekharem...

Czy pan słyszy...? O czymże to pan дума?

– Chciałbym być Szekharem! – powiedziałem z westchnieniem.

– Zaczekaj no pan troszkę! Trzeba wpierw wysłuchać do końca mej historii. Pewnego dnia w zimowej porze deszczów dostałam silnej gorączki, więc przybył lekarz, aby mnie zbadać. Było to pierwsze nasze spotkanie. Leżałam naprzeciwko okna, tak że różowa poświata zachodu musiała padać na blade oblicze. Gdy lekarz wszedł, wyobraziłam sobie, że jestem na jego miejscu, i zaczęłam się sobie przyglądać. Ujrzałam najwyraźniej własną zaróżowioną twarz podobną do omdlałego kwiatu rzuconego na biel miękkich poduszek. Kędziory miedzianych włosów oblewały falą me czoło, a spuszczone powieki rzuciły uroczy cień smutku na całe oblicze.

Doktor spytał brata po cichu i z wahaniem:

„Czy mógłbym zbadać puls?”.

Wyjęłam spod kołdry cudną rękę i podałam mu gestem znużenia. „Ach! – pomyślałam. – Gdybym też mogła przybrać ją w bransoletę z szafirami!”. Nie widziałam dotąd nigdy równie niezręcznego lekarza. Po prostu drżał, badając mój puls. Dygotały mu palce w sposób skandaliczny. On liczył uderzenia mego puls, a ja badałam jego serce... Czy pan mi wierzy?

– Najzupełniej! – powiedziałem. – Serce ludzkie zdradza się łatwo.

– Zachorowawszy kilka razy i ozdrowiawszy na nowo, przekonałam się, że liczba młodzieńców leżących u mych stóp w ogrodzie zredukowała się do jednego i wreszcie cały mój świat ograniczył się do jednego lekarza i jednej pacjentki.

Kiedy zbliżał się wieczór, zwykła pora mych marzeń w ogrodzie, stroiłam się precudnie w złocisty sarong, przewijałam węzeł włosów wiankiem białego jaśminu i udawałam się na zwykłe swoje miejsce, zabierając z sobą niewielkie lusterko.

Sądzi pan, że rychło znudzi się kobiecie podziwianie własnej urody? O, nie. Zresztą nie spoglądałam na siebie własnymi oczyma. Byłam wówczas istotą podwójną. Patrzyłam na siebie tak, jakbym była doktorem, wpatrywałam się w lustro, poddałam się temu urokowi i zakochałam się do szaleństwa. Ale mimo pieścizot, jakich sobie nie szczędziłam, błąkało się w mym sercu westchnienie, podobne obłądnemu wiatrowi

tułającymu się po nocy.

Od tej pory przynajmniej nie byłam nigdy samotna. Idąc, spoglądałam na ruchy palców mych stóp dotykających ziemi i zadawałam sobie pytanie, co by uczynił doktor, gdyby je widział. Kiedy w południe powietrze wibrowało od żaru słońca i wokół zaległa cisza przerywana jeno dochodzącym z dala pokrzykiem błotnej czapli albo skrzekliwym mamrotem przekupnia, idącego ulicą wzdłuż muru ogrodowego, powtarzającego z uporem: „Kupujcie pierścienie kryształowe!”, wówczas rozpościerałam na trawie pod drzewami śnieżnobiałe płótno i kładłam się, opierając na ramieniu głowę. Z wyszukaną niedbałością spoczywało drugie ramię na płótnie, a ja wyobrażałam sobie, że mnie zobaczył, że pochwycił moją rękę w obie dłonie, że złożył na niej pełen szacunku i zachwytu pocałunek, a potem... odszedł powolnym krokiem... Cóż by pan powiedział, gdybym na tym zakończyła moją opowieść? Jak by się to panu podobało?

– Byłoby to wcale stosowne zakończenie! – odrzekłam z naciskiem. – Wprawdzie pozostawiałoby pewną lukę, ale mógłbym spędzić resztę nocy nad jej wypełnieniem.

– W ten sposób całość wypadłaby zbyt poważnie. Gdzieżby się znalazło miejsce na wesołość i na szkielet z wyszczerzonymi zębami? Toteż muszę skończyć sama. Skoro lekarz pozyskał jaką taką praktykę, wynajął na parterze naszego domu pokój ordynacyjny i urządził go jak należy. Wypytywałam go nieraz żartem o różne leki i trucizny i musiał mi mówić, ile której

z nich wziąć należy, by zabić człowieka. Ten temat interesował go, stawał się tedy wymownym. Rozmowy takie oswoiły mnie powoli z myślą o śmierci i w ten sposób miłość i śmierć wypełniły doszczętnie mój mały światek. Zaraz będzie koniec... nie ma już dużo do opowiadania.

– I z nocy pozostało niewiele! – burknąłem pod nosem.

– Po jakimś czasie zauważyłam, że doktor się wściekł, i wydawało mi się, że chce coś ukryć, czegoś się wstydzi. Pewnego dnia przyszedł wcześniej jak zwykle. Był ubrany bardzo elegancko i pożyczył od mego brata powóz na cały wieczór.

Nie mogłam powściągnąć dłużej ciekawości i udałam się do brata, by zeń wyciągnąć jakąś wiadomość o zamiarach lekarza. Porozmawiawszy o rzeczach postronnych, spytałam w końcu: „Mój Dada, gdzie udaje się dzisiaj doktor twoim powozem?”.

„Na śmierć!” – odrzekł brat krótko i węzłowato.

„Nie żartuj! – prosiłam. – Powiedz mi, gdzie jedzie?”.

„Żenić się!” – brzmiała wyraźniejsza odpowiedź.

„Tak? Naprawdę?” – zawołałam i wybuchnęłam długim, rozgłośnym śmiechem.

Dowiedziałam się powoli, że przyszła doktorowa jest bardzo bogatą dziedziczką i wniosie mężowi ogromny posąg. Dlaczegoż jednak dręczył mnie ukrywaniem? Czyżem go kiedy błagała, by się z nią nie żenił, czyż go zapewniałam, że złamię mi życie? Nie należy nigdy ufać mężczyznom! Zawierzyłam w życiu jednemu jednemu mężczyźnie i oto takiego doznałam rozczarowania.

Załatwiwszy się z pacjentami, doktor wrócił do nas i zaczął się wybierać w drogę. Wówczas powiedziałam ze śmiechem: „Doktorze, pan się żeni!”.

Wesołość moja nie tylko wytrąciła go z równowagi, ale nawet dotknęła.

„Dlaczegoż to – pytam – nie zarządzi pan iluminacji i nie sprowadzi muzyki?”.

Odparł z westchnieniem: „Czyż małżeństwo daje powód do radości?”.

Wybuchłam znowu śmiechem. „Nie, nie – zawołałam – tak być nie może. Któż widział wesele bez iluminacji i muzyki?”.

Dręczyłam póty mego brata, aż się zgodził niezwłocznie zamówić wszystko, czego potrzeba do wesołej uroczystości ślubnej.

Przez cały czas paplałam bez ustanku wesoło o narzeczonej, bliskiej uroczystości i o tym, co uczynią, gdy panna młoda zjawi się w naszym domu. „Doktorze – spytałam – czy pan i potem będzie badał puls kobietom?”. Ha, ha, ha. Nie mogę wprawdzie widzieć, co się dzieje we wnętrzu człowieka, a zwłaszcza mężczyzny, ale pewna jestem, że słowa moje były dlań czymś jak pchnięcia sztyletu wymierzone w samo serce.

Obchód weselny miał się odbyć późnym wieczorem. Doktor przed odjazdem miał wypić, jak to czynił codziennie, z bratem szklanek wina na werandzie. Właśnie wszedł księżyc.

Przystąpiłam doń i zapytałam ze śmiechem:

„Czyś zapomniał, doktorze, o ślubie? Czas już jechać!”.

Muszę wspomnieć o pewnej drobnej rzeczy. Oto na małą chwilę przedtem pobiegłam do apteki i kupiłam mały proszek, który niepostrzeżenie wsypałam do szklanki z winem przeznaczonej dla doktora.

Wychylił wino duszkiem i powiedział głosem drżącym od rozdrażnienia, spojrzawszy tak, że mi się ścisnęło serce: „Muszę tedy jechać!”.

Muzyka zaczęła grać. Poszłam do mego pokoju, ubrałam się w szaty weselne ze złota i jedwabiu, przystroiłam się wszystkimi klejnotami wyjętymi ze starej szkatułki, namalowałam purpurowy znak mej godności mężatki na głowie, a potem przysposobiłam sobie leże pod drzewami w ogrodzie.

Noc była precudna. Łagodny wietrzyk południowy rozpraszał znużenie, zapach jaśminów i kwiatów niedanu napełniał cały ogród balsamicznym tchnieniem i dziwną radością.

Tony muzyki stawały się coraz to cichsze, poświata księżycza przygaszała powoli, świat cały, wraz ze zwykłymi wyobrażeniami o domu i krewnych, niby sen zacierał się coraz to bardziej w mej świadomości – zamknęłam oczy i uśmiechnęłam się.

Myślałam, że kiedy ludzie przyjdą i znajdą mnie, zastaną jeszcze ów uśmiech na moich wargach, niby ślad po czerwonym winie... że zabiorę z sobą ten uśmiech tak, iż będzie krasił me lico przez cały wiekuisty, nieprzespany sen w ślubnej łożnicy... Ale... ach! Cóż się stało z mym licem, co zostało z jedwabnych i złotych szat, z klejnotów... Gdym się zbudziła

od suchego trzasku przerzucanych kości, spostrzegłam trzech małych chłopców studiujących osteologię na moim szkielecie. Gdy tak niedawno jeszcze w piersi mej tętniła radość i ból i młodość rozwijała w niej pęki nadziei – to teraz w tej samej piersi tkwi patyk nauczyciela pokazujący uczniom każdą kostkę.

Tyle zostało! Czyś pan, ucząc się, zauważył ów uśmiech czarownicy, tak dobrze, tak misternie wystudiowany ongiś przeze mnie? No, jakże się panu podobała moja historia?

– Prześliczna! – zawołałem.

W tej chwili zaczął pisać kogut.

– Czy pani jest jeszcze? – spytałem.

Nikt się nie odezwał. Tylko przez okno zajrzał do wnętrza szary świt.

Stróż dziedzictwa

I

Brindaban Kundu wpadł rozwścieczony do izby swego ojca i zawołał w pasji:

– Wynoszę się precz! I to już!

– Marne, niewdzięczne stworzenie! – odkrzyknął pogardliwie ojciec jego, Dżagannath Kundu. – Wynos się, idź sobie precz! Cóż to, tak się odgrażasz, jakbyś zwrócił wszystko co do grosza, to, co kosztowało twe jedzenie i suknie?

Jedzenie i suknie, jakie otrzymywali członkowie rodziny Dżagannatha, nie mogły kosztować dużo. Nasi mędrcy dawnych czasów umieli poprzestawać na bardzo małym, a sposób życia Dżagannatha świadczył, że żywił w duszy te same, co oni, ideały. Nie mógł, co prawda, dorównać ascetycznym filozofom niemającym wcale potrzeb, ale winę tego ponosiła zależność od zwyrodniałego społeczeństwa, w którym żył, i także pewne nierozumne wymagania natury, chcącej koniecznie utrzymać ścisły związek duszy z ciałem.

Dopóki Brindaban był bezzennym młodzieńcem, wszystko szło jako tako, ale od czasu żeniaczki zaczął szybko sprzeniewierzać się ideałom ojca swego. Nie mogło ulegać wątpliwości, że pojęcia syna o dobrobycie coraz bardziej

zbaczały ze ścieżyn ducha, a staczały się na bezdroża materializmu, w czym szedł on zresztą śladami dzisiejszego zepsutego świata. Nie chciał już znosić cierpliwie utrapień wywoływanych przez upał, zimno, głód i pragnienie, a minimum jego potrzeb w pożywieniu i ubraniu wzrastało z dniem każdym.

Ojciec z synem popadali coraz częściej w sprzeczki. Pewnego razu zachorowała ciężko żona Brindabana, tak że wezwano miejscowego lekarza. Gdy jednak tenże zapisał jakieś bardzo drogie lekarstwo, Dżagannath uznał to za oczywisty dowód jego zupełnego niedołęstwa i braku wiedzy i wyrzucił go za drzwi. Zrazu Brindaban prosił ojca usilnie, by nie przerywał leczenia, potem zaczął grozić, ale wszystko nie zdało się na nic. Gdy żona wreszcie zmarła, zbeształ ojca i nazwał go mordercą.

– Gadasz głupstwa! – odrzekł ojciec filozoficznie. – Czyż ludzie nie umierają, mimo iż pożerają masę najdroższych lekarstw? Gdyby one mogły ocalić życie, to królowie i cesarze byliby nieśmiertelni! Zachciało ci się tylko, by żona twoja umarła z większą wystawnością i ceregielami jak twa matka, babka i prababka!

Gdyby Brindabana nie gnębił żal i smutek, tak że nie był w stanie myśleć, słowa te sprawiłyby mu niezawodnie pewną ulgę. Ani matka, ani babka nie zażywały lekarstw przed porzuceniem tego marnego świata, bo leżało to już w tradycjach rodu. Ale młodsza generacja nie chciała umierać za tę tradycję! W czasie kiedy działo się to, o czym opowiadamy, Anglicy dopiero co pojawili się u nas. Ludzie starzy, przerażeni

obyczajami i poglądami młodego pokolenia, siedzieli po kątach i próbowali pocieszać się nieco, smoktając cybuchy fajek.

Koniec końców nowoczesny Brindaban rzekł swemu przestarzałemu ojcu: „Wynoszę się precz!”.

Ojciec bez najmniejszego wahania zgodził się, a ponadto wyraźnie i uroczyście zapewnił, że gdyby miał synowi swemu pozostawić w spadku jeden choćby złamany szeląg, to godzi się, by mu ten czyn bogowie policzyli jako zbrodnię przelewania świętej krwi krów. Brindaban, odpowiadając również uroczystą przemową, oświadczył, że gdyby kiedykolwiek cokolwiek przyjął od ojca, godzien się stanie kary zgotowanej matkobójcom!

Ta mała rewolucja wewnętrzna była dla wieśniaków, znudzonych wieczną jednostajnością życia, nader miłą rozrywką, gdy więc Dżagannath wydziedziczył swego syna, każdy z sąsiadów starał się go na swój sposób pocieszyć. „Tylko w tak zwyrodniałych czasach – mówili – mogło się zdarzyć, by z powodu żony mógł się poróżnić syn z ojcem!”. Wszyscy byli tego samego zdania i udowodnili ten pogląd przykładem. Jeśli komuś umrze żona, może sobie znaleźć drugą, ale gdy straci ojca, ani złotem, ani dobrym słowem nie może kupić sobie drugiego! Logice tej nic zarzucić nie było można, ale prawdopodobnie ta zupełna niemożliwość pozyskania drugiego ojca bardzo niewiele przyczyniała troski zwyrodniałemu synowi. Przeciwnie! Miał ją sobie za przywilej.

Również i stary Dżagannath nie cierpiał skutkiem rozłąki.

Przede wszystkim zmniejszyły się od razu wydatki na utrzymanie domu, a po wtóre opuściła ojca obawa prześladowająca go dotąd stale, że syn jego i spadkobierca może go pewnego dnia otruć. Ile razy spożywał swą mizerną strawę, ciągle myślał o truciznie. Po śmierci synowej obawa ta zmniejszyła się znacznie, a po rozłące z synem znikła zupełnie.

Ale w sercu starca istniał pewien słabszy punkt. Brindaban zabrał z sobą czteroletniego syna swego, Gokula Czandrę. Ponieważ koszta utrzymania dziecka były małe, przeto wydatek ten nie obniżał miłości dziadka do wnuka. Co prawda, chociaż szczerze bolał nad tym, że syn zabrał dziecko, pocieszał się obliczaniem, ile zarabia miesięcznie przez nieobecność ich obu, ile to wynosi w ciągu roku i jaki musiałby być kapitał, który by równą sumę dawał z tytułu procentów.

Ale staremu coraz trudniej było wytrzymać w opustoszałym domu, gdzie Gokul Czandra nie płatał już teraz figlów. Nie było komu robić mu na złość, przeszkadzać w modlitwach, porywać i zjadać przygotowanych potraw, zabierać kałamarza i uciekać z nim, kiedy sumował długie kolumny cyfr i obliczał procenty. Niezmienny tryb codziennego życia, do którego nawykł od dawna, stał mu się ciężarem nieznośnym, od kiedy go nic nie psuło i nie mąciło. Doszedł do przekonania, że taki niebiański spokój znieść można chyba jeno po śmierci, w życiu przyszłym. Wzdychał ciężko i boleśnie spoglądając na dziury w kołdrze wydarte rączkami malca i dziwaczne rysunki atramentem na matach z szuwaru, będące dziełem tegoż samego artysty.

Pewnego razu ostro zburczał chłopca za to, że podarł płócienne majtki w nader krótkim przeciągu dwu lat, a teraz łzy mu do oczu napływały, kiedy spozierał na te strzępy wiszące w sypialni na ścianie. Zdjął je, złożył starannie, schował uroczyście do skrzyni i uroczyście ślubował, że gdyby Gokul wrócił, to nie będzie nań burczał, choćby nawet co roku darł majtki.

Ale Gokul nie wracał, a biedny Dżagannath starzał się bardzo szybko.

Nie mógł już wytrzymać w domu jak dawniej i ciągle chodził. Nawet w porze południowej, kiedy każdy porządny człowiek we wsi spoczywał, jak przystoi, Dżagannath włóczył się po ulicach i zaułkach z fajką w ręku. Gdy go dostrzegły bawiące się dzieci, skupiały się, odsuwały na odległość zapewniającą bezkarność, a potem intonowały pieśń, jemu poświęconą przez miejscowego poetę, w której wymownymi słowami autor wielbił oszczędnościowe nawyczki bohatera. Nikt nie ważył się jednak wymienić jego rzeczywistego nazwiska, a to z obawy, by nie być zmuszonym do całodniowego postu. Nazywano go tedy podobnie – Dżaganasz – to znaczy mniej więcej: „niszczyciel świata”, gdyż Dżagannath znaczy tyle, co „pan świata”. Młode pokolenie nazywało go po prostu wampirem, a był po trochu podobny do tego stworzenia przez swą chudość i pomarszczoną skórę na twarzy.

II

Pewnego dnia Dżagannath szedł jak zazwyczaj ulicą wioski ocienioną mangami. Nagle spostrzegł chłopca nieznanego sobie, widocznie obcego przybysza. Chłopak przewodził zgrai wyrostków i właśnie objaśniał im plan jakiegoś nowego szelmostwa. Porwani jego energią i olśnieni nowością pomysłów uznali go inni chłopcy za swego wodza i poddali się jego władzy bez szemrania. W przeciwieństwie do innych chłopiec nie uciekł na widok starca, ale podszedł doń blisko i wytrząsł ze swego czandaru, czyli płachty okrywającej plecy niby płaszcz, żywą jaszczurkę. Zwierzątko skoczyło na Dżagannatha, zbiegło po jego plecach i uciekło w zarośla. Starzec przeraził się i dobrą chwilę drżał na całym ciele ku ogólnej radości urwipołciów stawiających kozły z uciechy. Dżagannath poszedł dalej, klnąc i łając. Ale nie uszedł daleko, gdy nagle znikła z jego pleców gamcza, czyli szal, a za moment ujrzał ją na głowie obcego chłopaka przemienioną w piękny turban.

Zbytki malca uczyniły na starcu wielkie wrażenie, odczuł coś w rodzaju przyjemności. Nie zdarzyło się dawno, by jakieś dziecko ośmieliło się doń zbliżyć. Przystanął, zaczął mówić, czynić uwodzicielskie obietnice i na koniec skłonił chłopca, by podszedł doń blisko, po czym zawiązała się między nimi rozmowa:

– Jak się zwiesz, chłopcze?

- Nitaj Pal!
- Skąd jesteś?
- Nie powiem!
- Kto jest twym ojcem?
- Nie powiem!
- A dlaczego?
- Bo uciekłem z domu!
- Czemuż uciekłeś?
- Bo mnie ojciec chciał posłać do szkoły!

Od razu stało się starcowi oczywiste, że jest daremnym marnowaniem grosza posyłać chłopców do szkoły, przeto ojciec Pala musiał być człowiekiem nader niepraktycznym, skoro tego nie zauważył.

– Słuchaj no, chłopcze! – rzekł. – Czy chcesz iść ze mną i zostać w mym domu?

– Ano dobrze! – oświadczył malec i zaraz rozgospodarował się u Dżagannatha z taką obojętnością i pewnością siebie, jakby jego dom był cieniem pod przydrożnym drzewem. Mało tego. Zaczął od razu stawiać żądania dotyczące spraw pożywienia i odzieży, a czynił to z takim spokojem, jak gdyby cały rachunek z góry uregulował. Jeśli mu się coś wydało niedostateczne albo nieodpowiednie, bez ceregieli kłócił się ze starcem zęb za zęb. Z łatwością byłby Dżagannath utrzymał w ryzach własne dziecko, ale ponieważ było to dziecko cudze, przeto musiał się poddać i uczynił to bez oporu.

III

Wszyscy mieszkańcy wioski zdumiewali się niepomą, że chłopak zdołał tak szybko opętać starego skąpca. Pewni byli, iż Dżagannath niedługo umrze i wielkim bólem przejmowało ich to, że niezawodnie całe swe mienie pozostawi temu przybłędzie. Uniesieni zawiścią, z ochotą uczyniliby chłopcu coś złego, ale starzec pilnował go jak oka w głowie.

Czasem groził Nitaj sam, że sobie pójdzie precz, a wówczas starzec wabił go obietnicą zapisania mu wszystkiego, co posiada. Chociaż chłopak był malcem, mimo to jednak pojmował dobrze, że obietnica ta to rzecz niemała.

Mieszkańcy wioski zaczęli tedy czynić poszukiwania za ojcem chłopaka. Topniały im serca z litości na myśl o tych biednych stroskanych rodzicach i oświadczyli zgodnie, że Nitaj to urwis bez czci i wiary, skoro może im taki ból zadawać. Gromadzili nad głową jego wszelakie klątwy, ale zacierzewienie, z jakim to czynili, świadczyło raczej o ich zawiści, jak poczuciu sprawiedliwości.

Pewnego dnia dowiedział się starzec, że niejaki Damodar Pal poszukuje swego syna i właśnie przybył w tę okolicę. Gdy to posłyszał Nitaj, zaniepokoił się bardzo, zrezygnował co prędzej z przyszłych bogactw i chciał uciekać. Ale Dżagannath uspokoił go, mówiąc:

– Skryję cię tak dobrze, że nikt cię nie znajdzie, nawet sami

mieszkańcy tej wioski!

To podnieciło ciekawość chłopca i zawołał:

– Gdzież to? Pokaż mi zaraz to miejsce!

– Nie mogę cię tam zaprowadzić teraz – odrzekł starzec – bo spostrzegliby sąsiedzi. Musisz poczekać do nocy!

Myśl o tajemnej kryjówce zachwycała chłopca. Postanowił zaraz po odejściu ojca użyć jej do zabawy w chowanego i założyć się z innymi, że go nie znajdą. Nie znajdą na pewno i wygra zakład. To myśl doskonała! A co za pyszny figiel! Pomyśleć tylko, że ojciec przeszuka całą wieś i odejdzie z kwitkiem!

W południe zamknął Dżagannath chłopca w swym domu i znikł na pewien czas. Gdy wrócił, zasypał go Nitaj pytaniami.

Gdy się ściemniało, rzekł chłopak: – Dziadku, idźmy teraz!

– Musimy poczekać nocy! – odrzekł Dżagannath.

Po chwili krzyknął Nitaj: – Dziadku, już noc! Chodźmy!

– Ludzie we wsi nie pokładli się jeszcze spać!

Nitaj czekał, a potem powiedział:

– Już śpią! Dziadku, śpią wszyscy! Chodźmy!

Noc stawała się coraz głębsza, sen kleił powieki Nitaja i musiał czynić wielkie wysiłki, by nie zasnąć. O północy wziął starzec chłopca za rękę i wyszedł z domu. Szli omackiem ciemnymi ulicami. Nie było żywego ducha, a ciszę przerywało jeno czasem naszczekiwanie psa, któremu odpowiadały chórem inne. Czasem też przeleciał ptak nocny zdziwiony krokami ludzkimi o tej niezwykłej porze. Nitaj drżał ze strachu i ścisnął kurczowo dłoń starca.

Minęli niejedno pole uprawne i doszli w końcu do bagniska porośniętego kępami sitowia, nad brzegiem którego stała stara, opuszczona, na poły zniszczona świątynia. – Ach, to tu? – powiedział Nitaj tonem rozczarowania. Wyobrażał sobie tę kryjówkę całkiem inaczej. Nie było to wcale tajemnicze ani dziwne. Ileż nocy od czasu ucieczki z domu spędził w takich opuszczonych świątyniach? Było to, co prawda, wcale niezłe miejsce do zabawy w chowanek, ale inni chłopcy mogli go tutaj dosyć łatwo znaleźć.

Dżagannath wszedł do świątyni i podniósł jedną z fliz kamiennych podłogi. Zdumiony chłopiec spostrzegł podziemną komnatę, pośrodku której świeciła się lampa. Strach i ciekawość toczyły walkę w jego małym serduszkach. Dżagannath zstąpił w dół po drabinie, a Nitaj poszedł za nim.

Gdy się znaleźli na dole, chłopiec, rozejrzawszy się wkoło, zobaczył pod ścianami mnóstwo dzbanów z brązu, na środku zaś leżał dywan do odprawiania modlitw i stały ryneczki z cynobrem, pastą sandałową, kwiaty i inne rzeczy potrzebne do odprawiania pudży. Nitaj, chcąc zaspokoić swą ciekawość, sięgnął do jednego dzbana i wyjął garść rupii i innych złotych monet.

Dżagannath zwrócił się doń i rzekł:

– Powiedziałem ci, Nitaju, że dam ci wszystko, co posiadam. W tych dzbanach mieści się cały mój majątek i oddaję ci go dzisiaj.

Chłopak podskoczył z radości w górę.

– Wszystko moje? I nie odbierzesz mi ani jednej rupii,

dziadku?

– Jeślibym to uczynił – rzekł starzec uroczyście – natenczas niechaj trąd okryje ręce moje! Ale stawiam jeden warunek. Oto gdyby kiedyś zjawił się tutaj wnuk mój, Gokul Czandra, albo syn jego, albo wnuk czy prawnuk, wreszcie jakikolwiek jego potomek, to musisz mu oddać wszystko aż do ostatniego pieniążka, rozumiesz?

Chłopak myślał, że starzec zwariował, przeto odparł:

– Dobrze!

– Usiądź na tym dywanie! – rzekł Dżagannath.

– Po co?

– Muszę ci udzielić pudży!

– W jakim celu? – spytał chłopak z przestachem.

– Taki jest przepis.

Nitaj przysiadł na dywanie, a Dżagannath namaścił mu czoło pastą sandałową, zrobił mu czerwone kółko pomiędzy brwiami, otoczył wieńcem kwiatów jego szyję i zaczął mamrotać formułki czarodziejskie.

Biedny Nitaj bał się bardzo. Siedział przybrany jak bożek i słuchał formułek i zaklęć.

– Dziadku! – szeptał raz po raz.

Ale Dżagannath nie przestawał się modlić i nie odpowiadał wcale.

Gdy skończył, z wysiłkiem poprzącał dzbany do chłopca jeden po drugim i kazał mu złożyć takie ślubowanie:

– Przysięgam uroczyście, że cały ten skarb oddam

Gokulowi Czandra Kundu, synowi Brinbadana Kundu, albo synowi, wnukowi czy prawnukowi rzeczzonego Gokula Czandra Kundu, albo wreszcie jakimukolwiek innemu jego potomkowi prawowitemu!

Nad każdym dzbanem z osobna musiał Nitaj powtórzyć tę przysięgę, tak że w końcu popadł w zupełne oszołomienie, a język nie chciał się poruszać w jego ustach. Gdy ceremonia się skończyła, powietrze w piwnicy stało się duszne, gęste od kopciu lampy i oddechów ich obu. Podniebienie chłopca wyszło zupełnie i wszystkie członki paliły go dotkliwie. Dusił się po prostu.

Lampa paliła się coraz to słabiej, mdlała, drżała i zgasła na koniec. Zapadła zupełna ciemność, a chłopak usłyszał, jak starzec wstępuje po szczeblach drabiny.

– Dziadku! Dokąd idziesz? – krzyknął przerażony.

– Odchodzę, a ty zostaniesz tutaj! Nie znajdzie cię nikt! Nie zapomnij imienia Gokula Czandra, syna Brindabana, wnuka Dżagannatha.

Wyciągnął na wierzch drabinę. Chłopak prosił głosem zdławionym strachem:

– Chciałbym wrócić do ojca!

Dżagannath położył na swoim miejscu kamienną płytę, a potem ukląkł i przyłożył do niej ucho. Usłyszał raz jeszcze wołanie Nitaja: – Ojcze! – potem rozległ się łoskot przygłuszony, jak by ciężki przedmiot upadł na podłogę, i zaległa cisza głęboka.

Dżagannath oddał pieczę nad skarbem swoim Yakowi, teraz zaczął kamienną płytę przysypywać ziemią. Skończywszy tę robotę, nasypał na całą podłogę cegieł i gruzu, a na wierzchu zasadził przygotowane trawy, małe roślinki i krzewy leśne. Noc minęła niemal, a on ciągle pracował, nie mogąc się oderwać od tego miejsca. Co chwila przykładął ucho do ziemi i nasłuchiwał.

Zdawało mu się, że z głębi ziemi, z dalekiej, przepastnej głębi, z samego jej środka dolatywały skargi bolesne. Zdawało mu się, że przesycona jest nimi ciemność i świat i że wszyscy ludzie świata, śpiący teraz, zerwą się ze snu. O... już wstają, siadają w łóżkach i nasłuchują.

Jak szalony sypał coraz to więcej ziemi na kamienie. Chciał zdławić te jęki, ale raz po raz słyszał słowa: – Ojczy! Ojczy!

Bił nogami w ziemię co sił i krzyczał: – Cicho bądź! Cicho... bo wszyscy cię usłyszą! – Ale ciągle wydawało mu się, że słyszy wołanie: – Ojczy!

Słońce ukazało się na niebie. Dżagannath opuścił świątynię i znalazł się w szczerym polu. Ale i tu zawołał ktoś tuż za nim: – Ojczy! – Obrócił się przerażony i spostrzegł syna swego stojącego o kilka kroków.

– Ojczy! – powiedział Brindaban. – Słyszałem, że syn mój ukrywa się w domu twoim. Oddaj mi go!

Starzec rozwarł szeroko oczy, wykrzywił usta, pochylił się i wrzasnął: – Twój syn?

– Tak! Mój Gokul. Zwie się teraz Nitaj Pal, a ja przybrałem imię Damodara Pala. Osławiony zostałeś, ojczy, tak w całej

okolicy, że musiałem ukryć swe pochodzenie, gdyż inaczej ludzie nie chcieliby wymówić naszego nazwiska.

Z wolna podniósł starzec ręce w górę. Palce jego ruszały się, jakby chwytać chciał coś w powietrzu. Zachwiał się i padł zemdłony.

Przyszedłszy do zmysłów, zaprowadził syna swego do opuszczonej świątyni i gdy się w niej znaleźli, spytał: – Czy słyszysz jakieś wołanie?

– Nie! – odrzekł Brindaban.

To mu sprawiło widoczną ulgę.

Począwszy od tego dnia chodził wszędzie i pytał ludzi: – Czy słyszycie jęki i wołanie? – A ludzie wyśmiewali się ze zdziecinniałego starca.

W cztery lata później leżał Dżagannath na łożu śmierci. Coraz mglistszym wydawał mu się świat, przestawał go widzieć, coraz to ciężiej było mu oddychać. Nagle usiadł na pościeli i zawołał jakby w szale gorączki:

– Nitaju! Ktoś mi zabrał drabinę!

Nie mogąc odnaleźć drabiny, by po niej wyjść ze swego straszliwego więzienia, gdzie nie było światła ni powietrza, padł na poduszki i ukrył się tam, gdzie nikt jeszcze odnalezionym nie został w ciągu długich wieków światowej zabawy w chowaniekę.

Był sobie król

Był sobie król...

Za naszych lat dziecięcych nie pytano nigdy:

– Co to za król? Gdzie żył?

Gdyż szło o króla z baśni. Mając lat siedem żaden z nas nie był ciekawy dowiedzieć się czegoś jeszcze o owym królu ni badać, czyli żył i panował w Kaszi lub Kanaudź, czy mu było na imię Siladitja lub Śaliwahan.

Sama owa najwyższa prawda, owa rzeczywistość niezrównana zawarta w słowach:

– Był sobie król...

starczyła, by rozplłomić radością bez granic i świętym natchnąć uniesieniem małego słuchacza.

Tak było, teraz jest inaczej. Słuchacze są bystrzejsi i żądają większej ścisłości. Naturalnie, wszakże nastały czasy krytycyzmu i nauki. Posłyszawszy taki początek baśni słuchacz uczuwa podejrzenie, kieruje reflektor wiedzy na oną mgławicę legendarną i pyta:

– No dobrze... ale jaki król?

Stosując się do zmienionych wymagań swych klientów, baśniopisowie i ich głosiciele nie zadowolają się już dawną nieokreśloną formą, ale przybierając miny niezmiernie uczone, zaczynają tak:

– Był sobie pewnego razu król imieniem Adżataśatru...

Niestety i to nie starczy chciwemu wiedzy słuchaczowi naszych błogich oświeconych czasów. Uśmiecha się, spoziera spod oka, łyska okularami wiedzy i mówi do autora:

– Dobrze... dobrze, szanowny panie, ale... który Adzataśatru?

Na to autor, który przygotował się należycie:

– Każdy żak szkolny wie doskonale, że było trzech królów tego imienia. Adzataśatru I urodził się w XX wieku przed Chrystusem i zmarł wcześniej, mianowicie licząc dwa lata i osiem miesięcy życia. Bardzo mi przykro, ale nie zdołałem odnaleźć w archiwach ścisłych i dokładnych dat, szczegółów oraz całokształtu jego panowania. Adzataśatru II lepiej jest już znany historykom naszym. Nowa, wydana w latach ostatnich *Wielka Encyklopedia Historii* zawiera na stronie...

W tym momencie słuchacz współczesny doznaje ogromnego ukojenia. Sumienie naukowe przestaje mu doskwierać. Czuje, że może zaufać autorowi, który stoi na wysokości zadania, i mówi do siebie: „Usłyszę opowieść pożyteczną, pouczającą i ciekawą”.

O, jakże łatwo oszukać dzisiejszego krytycznego słuchacza! Wszyscy drżymy na myśl, że ktoś posądzi nas o brak naukowości, a kończy się na tym, że jesteśmy nieukami. Rezultat ów zaś osiągamy przebiegłszy długą, mozolną drogę badań.

Anglik posiada przysłowie: „Nie pytaj, a nie będę zmuszony cię okłamywać”. Siedmioletni chłopiec słuchający baśni wie o tym doskonale, przeto przez cały czas opowiadania milczy dyskretnie. A piękne zmyślenie niczym nieosłonięte, niewinne

jako niemowlę, przejrzyste się staje jak prawda, jak krystaliczny, ożywczy potok górski. Natomiast zamaszyste, ciężkie, uczone kłamstwo czasów naszych musi prawdziwe swe oblicze ukrywać z zakłopotaniem pod fałdzistą draperią. Niechże w draperii onej znajdzie się bodaj najmniejsza dziurka, którądy przeniknąć zdoła oko, natychmiast słuchacz czy też czytelnik odwraca się z oburzeniem i odrazą, po czym... autor może pakować manatki, sława bowiem jego przepadła z kretesem.

Za młodu... za młodu znaliśmy się wszyscy doskonale na łąkotchach i słodycz uroczą baśni odkrywaliśmy metodą własną, nieomylną. Cóż nas wówczas obchodziły takie nieużyteczne sprawy, jak na przykład... wiedza? Szło nam jeno o... prawdę! Maleńkie, niezepsute serduszko wiedziało dobrze, gdzie jej pałac kryształowy i którądy doń wiedzie droga.

Dzisiaj wymagają ludzie, byśmy całe spisywali stronicie faktów, gdy sama prawda brzmi po prostu:

– Był sobie król...

Pamiętam pewien wieczór w Kalkucie.

Babka zaczęła bajkę, a na dworze szalała nawałnica. Miasto było zalane wodą, ludzie brodzili w niej z trudem, a w naszej ulicy sięgała przechodniom po kolana.

Serce moje wezbrało nadzieją tak silną, że była mi niemal pewnością. Pragnąłem, by nauczyciel się nie zjawił, by nie mógł przybyć onego wieczoru. Siedziałem w najdalszym kącie werandy i patrzyłem w ulicę, a serce mi biło... tak mocno... coraz mocniej. Nie spuszczałem oczu ze strug deszczu, a ile razy

słabło jego natężenie, zbierając wszystkie siły woli, modliłem się:

– Boże... Boże... każ padać deszczowi mocno, bardzo mocno, aż do wpół do siódmej!

Byłem święcie przekonany, że powodem całej burzy, nawałnicy i powodzi jest wyłącznie sprawa wyrwania ze szponów nauczyciela biednego bezbronnego chłopczyzny, przytulonego do kącika werandy pewnego domu w Kalkucie.

Nie wiem, czy modlitwa moja została wysłuchana, czy sprawiła to jakaś przyczyna niższego rzędu, prawo fizyczne lub coś podobnego, dosyć, że deszcz uparł się i padał dalej.

Niestety, uparł się także i mój nauczyciel. Punktualnie w czasie przeznaczonym na lekcję ujrzałem wynurzający się z zakrętu ulicy jego parasol. Wielka mydlana bańka nadziei w piersi mojej pękła i uczułem ból w sercu. „Zaprawdę” – pomyślałem – „jeśli istnieje kara w drugim życiu, odpowiadająca dokładnie winie, to nauczyciel odrodzi się w moim ciele, ja zaś przyjdę na świat jako jego nauczyciel”.

Zobaczywszy parasol, zerwałem się i co sił w nogach pobiegłem do pokoju matki. Matka i babka siedziały naprzeciw siebie przy stole, na którym stała lampa, i grały w karty. Wbiegłem, rzuciłem się na łóżko tuż koło matki i zawołałem:

– Matusiu droga, nauczyciel przyszedł, a mnie tak bardzo boli głowa! Czy muszę koniecznie odbyć lekcję dzisiaj?

Mniemam, że opowieść ta nie wpadnie w rękę dziecku nieletniemu, i ufam silnie, iż nie zostanie zamieszczona

w podręczniku szkolnym. To, co uczyniłem, było bardzo, bardzo złe, a mimo to nie spotkała mnie najłżejsza nawet kara. Przeciwnie, występek mój został po królewsku nagrodzony i odniósł triumf.

Matka powiedziała:

– Dobrze! – a zwracając się do służącej, dodała: – Powiedz nauczycielowi, że lekcji dziś nie będzie.

Nie ulegało żadnej wątpliwości, iż choroby mej rzekomej nie brała na serio, gdyż grała dalej w karty, nie zwracając wcale uwagi na mnie. Ja zaś, ukrywszy twarz w poduszki, śmiałem się długo i serdecznie. O, jakżeśmy się doskonale rozumieli oboje z matusią.

Ale chyba wszyscy wiedzą dobrze, że udawanie choroby przez czas dłuższy to dla siedmioletniego chłopca rzecz niezmiernie trudna. Nie minęła minuta, a już uczepiłem się babuni, prosząc gorąco:

– Babuniu! Opowiedz mi bajkę!

Musiałem powtarzać tę prośbę nieskończoną ilość razy. Matka i babka grały dalej i nie zwracały na mnie uwagi. Na koniec matka powiedziała:

– Dajże nam spokój! Zaczekaj, aż skończymy partię.

Ale ja się upierałem:

– Babuniu, opowiedz mi bajkę!

Powiedziałem matce, że może jutro skończyć grać, a babka powinna teraz opowiedzieć bajkę.

Znudzona matka rzuciła karty i powiedziała:

– Trudno! Niech będzie bajka! Nie mogę sobie z tym smykiem dać rady.

Może pomyślała, że jutro nie będę jej nudził, bo przecież przyjdzie nauczyciel i zabierze mnie do nauki.

Widząc, że matka się poddała, rzuciłem się na babkę. Chwyliłem ją za rękę, tańcząc z zachwytem, i zaciągnąłem na łóżko pod siatkę od moskitów.

– Teraz opowiadaj, babuniu!

A babunia zaczęła:

– Był sobie król i miał królową.

„Jak na początek, niezłe” – pomyślałem – „miał tylko jedną!”.

Zazwyczaj królowie z baśni są na punkcie królowych wprost rozrzutni i gdy się dowiemy, że były na przykład dwie królowe, to nas zaraz ogarnia jakiś smutek. Jedna z nich musiała być niezawodnie nieszczęśliwa! No, ale w tej bajce niebezpieczeństwo nie zagrażało, wszakże miał tylko jedną jedyną.

Zaraz potem dowiedziałem się, że nie miał syna. Miałem lat siedem i nie sądziłem, że nieposiadanie syna może być przyczyną zmartwienia. Tym lepiej, zaważałby tylko.

Ale nie zdziwiłem się zbyt, usłyszawszy, że król udał się do lasu pościć i zanosić błagalne modły w tym celu, by otrzymać syna. To jego rzecz. Ja osobiście udałbym się do lasu chyba po to, by ująć pazurów mego nauczyciela.

Król tedy poszedł, zostawiając królową wraz z małą córeczką, która rosła, rosła, aż wyrosła na śliczną królewnę.

Minęło dwanaście lat. Król ciągle pościł i modlił się o syna, a ani razu przez cały czas nie pomyślał o swej córeczce. Królowna tymczasem rozkwitła całą krasą młodości. Mijał rok za rokiem, pora zameżcia mijała, król nie wracał. A królowa martwi się i płacze, i wzdycha, i mówi:

„Czyż córka moja ma umrzeć niezameżną? O, biada mi! O, jakież smutny mój los!”.

Posłała zatem gońców do króla, którzy go bardzo, bardzo prosili, by zechciał przybyć do pałacu na jedną jedyną noc i spożyć bodaj jedną jedyną wieczerzę. A król przystał na to.

Królowa przyrzadziła własną ręką, przykładając się z niezmierną pilnością do pracy, sześćdziesiąt cztery potrawy, przysposobiła małżonkowi siedzenie z drzewa sandałowego i sama poukładała przysmaki na złotych talerzach oraz ponalewała napoje w srebrne kubki.

Za fotelem stanęła królowna z wachlarzem z piór pawich w dłoni. Po dwunastoletniej nieobecności wkroczył król do pałacu. Królowna poruszała wachlarzem, a piękność jej rozświetliła wszystkie komnaty. Król patrzył w oblicze swej córki i zapomniał usiąść i jeść.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.